



Helena Mauberg
PEWNA HISTORIA



Wydawnictwo DiG



Ministerstwo Nauki
i Szkolnictwa Wyzszego

Digitalizacja i udostępnianie w Internecie Biblioteczki w ramach umowy TISP 01/16/2016 z Instytutu Nauki, Kultury i Edukacji. Wykonanie finansowane ze środków budżetu państwa.

PEWNA HISTORIA





Helena Mauberg

PEWNA HISTORIA

Czy Alfred Potocki uratował
czy zdradził Zamek w Łańcucie



Warszawa 2006



Ministerstwo Nauki
i Szkolnictwa Wyższego

Digitalizacja sfinansowana ze środków Ministerstwa
Nauki i Szkolnictwa Wyższego, gwarantująca na
zawsze dostęp do treści cyfrowych w sieci

CIP — Biblioteka Narodowa
Mauberg, Helena
Pewna historia: czy Alfred Potocki uratował
czy zdradził Zamek w Łańcucie / Helena Mauberg.
— Warszawa: „DiG”, 2001

Publikacja dofinansowana przez Komitet Badań Naukowych

Opracowanie redakcyjne: Wiktoria Krzemień

Opracowanie indeksu: Magdalena Kycia

Opracowanie techniczne: Wioletta Grochal

Projekt okładki: Sławomir Górzyński

Rysunek na okładce: Michaił Miedwiediew

Wszystki fotografie pochodzą ze zbiorów rodziny Potockich

© Copyright by Wydawnictwo DiG, 2001

ISBN 83-7181-212-4

Skład i łamanie



01-524 Warszawa, Aleja Wojska Polskiego 4

tel./fax (0-22) 839-0-838

E-mail: biuro@dig.pl; Internet: www.dig.pl

Druk cyfrowy

Fabryka Druku Sp. z o.o.



Ministerstwo Nauki
i Szkolnictwa Wyższego

Dyplomatyczny adres pocztowy w Warszawie: Biuro
Kopii i Replikacji 71-110/111/112 ul. Krakowskie
Kamienie 100-101, 00-613 Warszawa
Kontakt: 22 624 62 42, 22 624 62 43
Strona internetowa: www.mn.gov.pl

Te wspomnienia zawdzięczam nie tylko własnej pamięci, ale i rozmowom z Rodzicami.

Dziękuję Mamie za jej bezkompromisowe i bardzo sprawiedliwe oceny i sądy.

Dziękuję Ojcu za rozmowy, dyskusje o rodzinie, o Polsce ze stawianiem zawsze spraw kraju ponad własne z jedynym wyjątkiem — honoru rodziny.

Dziękuję moim siostram Marii Reyowej i Elżbiecie Gromnickiej za współpracę.

Dziękuję wspaniałym archiwistkom i bibliotekarkom, Marcie Paterak z biblioteki zamku łańcuckiego i Eli Kieszczyńskiej — wolontariuszce z Polskiego Instytutu Naukowego w Nowym Yorku za pomoc i intuicję.

Dziękuję historykowi, docentowi Uniwersytetu Poznańskiego, Krzysztofowi Jankowiakowi za zachętę, by trudny temat obrony pamięci Alfreda Potockiego wpleść we własne wspomnienia.

Dziękuję mojemu mężowi Waławowi za pomoc i cierpliwość we wprowadzaniu mnie w arkana sztuki posługiwania się komputerem, dziś narzędziem niezbędnym.

Helena Mauberg



WSTĘP



Antoniny

Dotychczas uważałam, że nasze przeżycia wojenne były przeciętne, czyli takie, jak większości polskich rodzin, liczyło się to, że przeżyliśmy. Zagrożenia, rozłąki były normalną częścią mojego i rodzeństwa dzieciństwa, tak jak całego tego pokolenia. Miarą nieprzeciętności były zewsząd docierające tragedie. Miałam jedenaście lat, gdy wojna się skończyła i wtedy zaczął się dla nas inny, trudny okres, mimo że te wojenne zagrożenia odeszły. Nawet nie tyle w sferze materialnej czy bytowej, choć ta była bardzo trudna, co w pewnej „atmosferze”. Dość wcześnie zdałam sobie sprawę, że jesteśmy ludźmi wyrzuconymi za burtę i że wszystko to, w czym wyrosłam ulega zaprogramowanej bezwzględnej krytyce, aż do unicestwienia. Wojna przeszła, ale pozostało jakieś osaczenie. Było to równie obecne w sytuacjach atakujących, jak i współczujących, a przede wszystkim w oskarżycielskich wypowiedziach w mediach, czasem słusznych, czasem nie, zwykle groteskowych, ale osiągniętych zamierzony propagandowy cel.

Gdy młodego, wrażliwego człowieka dosięgnie spowinowacenie, nawet nie za siebie, ale za bliskich, to jest to bolesne, budzi zapytania, refleksje, a nawet potrzebę konfrontacji. Jeśli ataki są słuszne, człowiek kuli się w sobie, przeżywa. Jeśli nie, ma obowiązek bronić pamięci ludzi mu bliskich, którym odebrano honor uczciwego człowieka czy dobrego Polaka.

Cały ten wstęp muszę osadzić w konkretach. O co chodzi i o kogo chodzi? Naturalnie chodzi o rodzinę, a specjalnie chodzi o człowieka, który nie miał za życia i nie ma dotąd żadnej możliwości obrony przed atakami i oskarżeniami, jakie go dotknęły, a mianowicie o Alfreda Potockiego ostatniego ordynata na Łańcucie.



Roman Potocki
syn Alfreda Namiestnika
i Marii Sanguszko



Elżbieta Potocka
córka Antoniego Radziwiłła
i Marii de Castellane



Józef Potocki
syn Alfreda Namiestnika
i Marii Sanguszko



Helena Potocka
córka Antoniego Radziwiłła
i Marii de Castellane

Alfred Potocki jest moim stryjem, nie tyle rodzonym co cioteczno–stryjecznym bratem mojego Ojca. Dwie siostry Radziwiłłówny wydano za dwóch braci Potoczkich, synów Alfreda z Łańcuta, namiestnika galicyjskiego. Starsza para — Roman i Elżbieta — osiedli w Łańcutcie, a młodsza — Józef i Helena — w siedzibie Matki braci Potoczkich, w sanguszkowskich Antoninach na Wołyniu. Były to dwa domy, dwa różne choć bliskie sobie stadła i dwie różne historie. Nie będą ich ożywiać, choć z dokumentów, korespondencji i nielicznych uratowanych fotografii wiele można by odtworzyć.

Przed wojną

Po rewolucji w Rosji, a następnie wojnie polsko-bolszewickiej i ustanowieniu traktatem ryskim granicy, Antoniny, już wówczas zniszczone, pozostały za wschodnią granicą Rzeczypospolitej. Rozkwit jak i zagładę Antonin znam z opowiadań i pamiętników Ojca, a również z *Pożogi* Zofii Kossak-Szczuckiej. Rodziny Kossaków, Szczuckich, Herdegenów, Skrowaczewskich, były z Antoninami związane. Pod wpływem niesłychanych wypadków i przeżyć talent pisarski Zofii wybuchł nie tylko potrzebą spisywania tego co się działo, a działa się HISTORIA, ale osądów i spostrzeżeń niebywale słusznych i zaskakująco dojrzałych, zważywszy bardzo młody wiek pisarki. Entuzjazm wobec „nowego” sprawił, że nawet spośród inteligencji wielu oczekiwało pozytywnych zmian. Jej oceny były zaskakująco trzeźwe, jak np. ta dotycząca nowo powstających organizacji młodzieżowych, które jako pierwsze zadają rekwizycję, czyli zabór cudzego mienia. Wyciągnięte przez tę młodziutką wówczas kobietę wnioski dla wielu stały się oczywiste dopiero po różnych smutnych doświadczeniach.

Nasz Ojciec był pierwszym czytelnikiem, a może i odkrywcą talentu Zofii. Jako student prawa odbywał praktyki letnie w kancelarii zarządu dóbr antonińskich. Zarządcy poszczególnych kluczy czy folwarków mieli obowiązek przesyłania okresowych sprawozdań, które dotyczyły zwykle suchych i co tu dużo mówić nudnych danych, nierzadko były nienajlepiej pisane. Nasz Ojciec miał obowiązek zapoznawania się z nimi. Młody pan



Pałac w Nowosielicy — miejsce akcji *Pożogi*, pierwszej powieści Zofii Kossak-Szczuckiej

Szczucki, absolwent szkoły rolniczej, który objął prowadzenie nowego klucza majątkowego Nowosielicę, nie miał zupełnie zacięcia do owych sprawozdań. Aż tu nagle, jak pod wpływem różdżki czarodziejskiej zamigotały łany zbóż, opisy robót były jak z obrazu, sprawozdania ożyły. Domyśliwszy się, kto zastępuje sygnatariusza, zważywszy jego niedawny ożenek, Ojciec pojechał złożyć hołd autorce, mało tego, powiedział bardzo dumny ze swego odkrycia „Pani ma talent, Pani musi pisać”. Szkoda, że te pierwsze perełki talentu pisarki spaliły się wraz z kancelarią antonińską. Wtedy w Nowosielicy scena była mickiewiczowska — Zosia w ogrodzie i niewiele od niej starszy panicz na koniu, który przyjechał złożyć jej swój bardzo szczery podziw.

Ona zarumieniona, nieco speszona, on bardzo dumny ze swego odkrycia.

Po latach wstrząsów, które zmieniły bieg historii, po sukcesach pisarskich i przeżyciach drugiej wojny światowej przypuszczalnie ten obrazek zbladł w pamięci pisarki, natomiast wrócił do nas w opowiadaniach Ojca, zwłaszcza, że my, dzieci, prosiliśmy o wszelkie wspomnienia.

Przed I wojną światową, obie rodziny, łańcucka i antonińska, mimo utrudnień zaborowych granic, żyły ze sobą bardzo blisko, obie bardzo podtrzymywały tradycje polskie. Język ojczysty był pierwszym u obu Radziwiłłowien, o Potockich nie mówię, ich matką była córka bohatera narodowego, sybiraka Romana Sanguszki. Podkreślam fakt nienaganności języka ojczystego i przy-



Romanowie i Józefowie Potoccy z synami, Łańcut,
Wielkanoc 1904 rok



Łańcut, grupa rodzinna — pierwszy samochód, około 1900 roku

wiązania do rodzimych tradycji u pań, których Matką była Francuzka, Maria de Castellane, a Babką Niemka z rodu Hohenzollernów i których młodość upłynęła w Berlinie. Międzynarodowo skoligaceni Radziwiłłowie głównie tam przebywali, spotykając się z całą ówczesną liczącą się elitą europejską. W domu zwyczajem były tradycyjnie polskie, Polakami byli domownicy. Zarówno na synowe, jak i na zięciów wybrano Polaków. Wybrano, bo o wyborze kandydatów młodo wydanych panien zadecydowali rodzice — takie były czasy. Bardzo posażne i urodziwe panny miały wielu zagranicznych konkurentów, ale oczywiście utrzymanie polskości, było równie naturalne co pozycji materialno-społecznej. Wszyscy oni w bardzo zmiennych i tragicznych

późniejszych dziesięcioleciach zdali egzamin przekonania i patriotyzmu. Pierwszy z nich, brat Elżbiety i Heleny, Stanisław Radziwiłł, przyjaciel, powiernik i adiutant Marszałka Piłsudskiego stracił życie w wojnie bolszewickiej w 1920 roku, w bitwie pod Malinem.

Jak już napisałam, przy wielkiej rodzinności i bliskości, wiele spraw w obu rodzinach układało się inaczej. Jedni i drudzy mieli po dwoje dzieci, dwóch synów. Nasz dziad Józef Potocki z Antonin miał oprócz wykształcenia zdolności, dziś by się powiedziało „menedżerskie”. Był wymagający, konsekwentny, przyczynił się bardzo do rozwoju majątku. Ta jego postawa miała również wpływ na wychowanie synów. Zdecydowanie wychowywał ich na Polaków i patriotów. Około 1905 roku,



Elżbieta i Helena Potockie z synami i bratanekami, synami Biszety i Jerzego Radziwiłła, w Antoninach



Helena Potocka z synami Romanem i Józefem
w Antoninach, 1909 rok

kiedy chłopcy, czyli nasz Ojciec Roman i jego młodszy brat Józef po okresie nauk pobieranych w domu mieli przejść do szkół średnich, Dziadek wysłał ich do Anglii do katolickiej szkoły prowadzonej przez Benedyktynów. Wobec braku polskich szkół i podminowanych nastrojów w zaborze rosyjskim, chłopcy stanęliby przed różnymi dylematami przerastającymi ich wiek. Bracia Potoccy mieli wówczas dwanaście i jedenaście lat i ich rodzice uważali, że jest to czas na naukę, a ostry rygor

nikomu nie zaszkodzi, wręcz odwrotnie. Szkoła była z internatem o silnej dyscyplinie, miała dobrą atmosferę i wysoki poziom nauczania. Chłopcy pozostali w niej pięć lat, aż do matury. Do domu wracali tylko dwa razy w roku, na Boże Narodzenie i letnie wakacje. Na Wielkanoc Rodzice jechali do nich. Po 1956 roku nasz Ojciec nawiązał przerwany przez wojnę kontakt z Downside (nazwa miejscowości od której szkoła wzięła imię). Korespondował i dostawał regularnie szkolny biuletyn o szkole i jej weteranach. Dobrze wspominał ten szkolny okres swojego życia, miał wielu rozsianych po świecie przyjaciół. Ponadto, wobec wypadków które nastąpiły uważał, że szkoła wyrabiała hart ducha i pewną filozofię równowagi. Ta równowaga podbudowana była niewątpliwie religią, ale specjalnie u Ojca, widzeniem wszystkiego, co się działo w perspektywie historycznej. Szkoła w Downside celowała w naukę historii. Dogłębnie studiowana historia starożytna była treningiem, rodzajem gam ćwiczonych przed przystąpieniem do nauki i oceny kontrowersyjnej nieraz historii nowożytnej.

Okres szkoły średniej przypadł starszej parze chłopców, czyli Alfredowi i Jerzemu z Łańcuta na wcześniejsze lata. Zabór austriacki nie przysparzał tylu rozterek, były polskie szkoły. Wobec prośby chłopców, by program szkoły średniej przerabiać na miejscu, a jedynie końcowo roczne egzaminy zdawać eksternistycznie we Lwowie, rodzice ulegli. Chłopcy uwielbiali swój dom rodzinny, Łańcut miał i ma niepowtarzalną atmosferę. Muszę w tym miejscu przerwać wątek nauki dla dygresji, której nie mogę się oprzeć, pamiętając dobrze moją babkę Helenę i jej siostrę Elżbietę. To one stworzyły



Elżbieta Potocka z synami Alfredem i Jerzym

rezydencje, z których jedną podziwiamy, zamek łańcucki, a druga pozostała we wspomnieniach — Antoniny. Te zdolności do urządzania wnętrz były pasją i tradycją rodziny ich Matki. O Marii de Castellane wiemy, że z mozołem sala po sali odbudowała zamek nieświeski, natomiast we Francji jej Babka ks. Dino jest sławna nie

tylko ciekawym życiorysem i publikowaną korespondencją, jest sławna również pozostawieniem znanych i podziwianych wewnątrz takich rezydencji, jak zamek w Valancey, Rochecotte i Żagań. Żagań koło Wrocławia był posagową rezydencją tej księżniczki kurlandzkiej. Jego wnętrza, projektu ówczesnej właścicielki, zniszczone po przejściu frontu w 1945 roku zachowały się w rycinach i są publikowane jako oryginalne świadectwa czasu.

Wracając do nauki Alfreda i Jerzego z Łańcuta, to pod częstą nieobecność rodziców, naukę chłopców powierzono sztabowi nauczycieli. Mało znam historię tych lat z opowiadań domowych czy też od stryjów; że tak było, dowiedziałam się w dość szczególnych okolicznościach, odwiedzając po wojnie w Łańcucie naszego ukochanego katechetę, księdza kanonika Kozieję.

Ksiądz kanonik na polecenie parafii spisywał kronikę Łańcuta, obejmującą długi i ciekawy okres, który tam przeżył. Po śmierci Ojca w 1971 roku, byłam parokrotnie w Łańcucie dla zamówienia odpowiedniej trumny do rodzinnej krypty grobowej. W czasie jednej z wizyt u księdza, wyraźnie zaaferowany staruszek powiedział mi: „dobrze że jesteś, bo nie bardzo wiem, co mam robić”. Przyniesiono mu zapiski, rodzaj notesu, sądząc z pisma, papieru i formy, autentyczne. Upamiętnienie zmagania pedagoga, który podjął się przygotowania Alfreda i Jerzego do małej matury we Lwowie. Ksiądz Kozieja związany z dawną tradycją łańcucką był człowiekiem sprawiedliwym, dobrze oceniającym „dawne” i „nowe”. Krytyki i oszczerstwa wobec Alfreda Potockiego i rodziny analizował i przesiewał przez sito włas-

nych przemyśleń. Uważał, że odpowiedzią na zarzuty nie jest czyjś sentyment, czy nawet punkt widzenia, ale świadectwa. Kiedyś, kiedy poprosiłam o możliwość przeczytania jego kroniki powiedział „to nie moja własność, to własność parafii, przeczytasz jak skończę. Zbieram ludzkie świadectwa, w nich się dobrze bronicie, bo przyłożone do tamtych czasów świadczą za wami” (rodziną). I tak rósł stos zeszytów chyba szesnastokartkowych zapisanych pięknym pismem starego mądrego człowieka, który zbierał świadectwa czasu.

Jeśli chodzi o wspomniany notes, rodzaj datowanego paszkwilu na paniczów z Łańcuta, to świadczył on źle przede wszystkim o autorze. Był w nim ładunek niechęci osobistej na miarę wielkiego kompleksu, wypowiedzi niegodne pedagoga, który podjął się prowadzenia chłopców i to prawdopodobnie za duże pieniądze, bo sądząc z zapisków był głównym odpowiedzialnym za całość programu. Źle im życzył, cieszył się z ich porażek, nie szczędził epitetów. Było oczywiste, że taki człowiek musiał zbuntować przeciw sobie nastoletnich, na pewno niełatwych chłopców, sam buntując przeciw nim personel i nauczycieli. Było to niewątpliwie trudne zadanie, zwłaszcza wobec braku rygoru szkolnego oraz pokus i możliwości ucieczki od nauki, jakie stwarzał własny dom. Za zaistniałą sytuację można winić rodziców i wychowawców, bo chłopcy zachowywali się tak, jak zachowałyby się większość chłopców w ich wieku i warunkach. Rodzina niezującego autora szukała kontaktu z rodziną Potockich, by odsprzedać ów dokument, w przeciwnym przypadku grożąc opublikowaniem kompromitującego, w ich opinii, materiału.

Książdz Kozieja powierzył mi owe niesławne notatki do przeczytania, nie było tego wiele. Był zaaferowany — lubił i cenił Alfreda Potockiego, między innymi za różne wspólne z parafią poczynania. Zwłaszcza w czasie okupacji pomoc Zamku na rzecz różnych potrzebujących była nieoceniona. Uspokoiliam staruszka, mówiąc, że każdy, kto to opublikuje, skompromituje przede wszystkim siebie, a na tle kolejnych fal oszkalowywania nieśczęsnego ordynata, to już nie ma większego znaczenia. Alfred i Jerzy już dawno nie żyją, a na pewno nikt z rodziny nie będzie zainteresowany wykupieniem za sporą, jak na polskie stosunki, sumę dolarów podobnego świadectwa. Sama, co pomyślałam, to pomyślałam. Reżim czy kolejni bonzowie z awansu mieli bądź swój partyjny interes, bądź potrzebę dowartościowania siebie w atakach albo w idiotycznych wypowiedziach, natomiast ta próba szantażu miała paskudną wymowę.

Wracając do historii Ojca i Stryjów, to czegoś się dodatkowo dowiedziałam. Myślę, patrząc na późniejsze losy tej czwórki, że surowe wychowanie Romana i Józefa było opatrnościowe wobec nadciągających wypadków. Podobnie, brzemienne w skutki było przywiązanie i nierozłączność Alfreda z Łańcutem, nie tylko zamkiem jako domem rodzinnym, ale z Łańcutem w najszerszym tego słowa znaczeniu obejmującym łańcucką tradycję, historię, ludzi, okolicę. Wydaje mi się, że ten łańcucki świat mu to odzwajemniał.

W momencie odrodzenia się Polski wszyscy czterej bracia z neoficką gorliwością, jak zresztą całe to pokolenie wychowane na *Panu Tadeuszu* i Sienkiewiczu, idee a równocześnie pozytywistyczne, rzucili się w od-



Alfred, Roman i Jerzy Potoccy, 1923 rok

budowę zniszczeń i powrót do normalnego życia. Przeszli przez wojnę światową, rewolucję i zmagania polsko–bolszewickie. Mogę z całą odpowiedzialnością powołać się na znajomość Sienkiewicza czy *Pana Tadeusza*. Nasz Ojciec znał na pamięć całe strofy z *Pana Tadeusza*, a językiem trylogii lubił mówić, dialogując powiedzonkami i robiąc konkursy trafności „kto lub jak

powiedział?”. Historię Polski znał doskonale, mimo że nie przeszedł przez żadne polskie szkoły, a wyższe studia robił w Petersburgu — prawo i Wrocławiu — rolnictwo.

Zniszczenia po I wojnie światowej, zwłaszcza w rolnictwie, były ogromne. Zmiana geografii układów od centrali zarządzania po komunikację i wszelkie inne powiązania dotychczas obowiązujące nie ułatwiały zadania. Nie mam zamiaru przywoływać tu wszystkich kryzysów monetarnych i innych, które następowały po sobie, burząc światową i wewnętrzną koniunkturę. Wiem z opowiadań, że tak duże, jak i małe majątki przechodziły kryzysy i bankructwa, a wiele żyło na kredyt, z trudem utrzymując równowagę. Do takich należał Łańcut. Życie na kredyt w Łańcutcie nie dotyczyło tylko wydatków właścicieli, te nie były znaczące wobec zobowiązań wynikających z układów z poprzednich lat, przerostu zatrudnienia, kas pracowniczych, spłaty długów oraz roli, jaką Łańcut zawsze pełnił i podjął się nadal spełniać w wolnej Polsce. Te wynikające z tradycji powinności były podejmowane na prośby rządu II Rzeczypospolitej. Pośrednikiem tych potrzeb rządowych był nieraz senator Jerzy Potocki, brat Alfreda, adiutant Marszałka Piłsudskiego w czasie wojny bolszewickiej, który po odejściu z wojska zgłosił do MSZ-u, by reprezentować Polskę — wiedząc, że będzie to dla Łańcuta kosztowne.

Po stracie Antonin, młodsza para braci Potockich podobnie rozdzieliła role. Starszy Roman, po wyjściu z wojska zaczął porządkować pozostałe na Wołyniu sprawy majątkowe, młodszy Józef zaraz po 1918 roku

rozpoczął pracę w MSZ—e jako etatowy urzędnik. Atutem Romana, oprócz dobrego przygotowania, zdolności, a może i szczęścia był, mimo zniszczeń, obszar działania. Niewielki, łatwy do samodzielnego prowadzenia, ponieważ personalne i finansowe układy z systemu gospodarczego z innej epoki nie zostały przeniesione, a równocześnie zachowano tak cenne wartości jak tradycja i zaufanie. Poszli za nim i ludzie, pewni, że ten młody człowiek odbuduje sobie i im nowy byt. Pozostały niektóre zobowiązania rodzinne i bankowe oraz duży dług inwestycyjny zaciągnięty jeszcze przez ojca Romana — Józefa Potockiego na budowę kolei, ale zostały szczęśliwie uregulowane. Czy na tym optymistycznie wyglądającym założeniu nie było rysy? Jasne że była, nie ma sytuacji idealnych. Było nią samo położenie, zarówno majątku, jak i interesów Romana Potockiego. I tak np. łatwiej było kupić ziemię czy dom na przyszłą siedzibę, były tańsze niż w zachodnich nie mówiąc o centralnych rejonach kraju, bo uważane za niepewne. Wszelkie pożyczki czy ubezpieczenia były natomiast trudniej osiągalne bądź droższe. Bracia, by odremontować zniszczoną wojną cukrownię w Korcu musieli brać pożyczki pod hipotekę pałacu w Warszawie należącego do młodszego, Józefa Potockiego. Nie było to korzystne. Pod adresem naszego Ojca padały różne ostrzeżenia, nie przejmował się tym nigdy, kochał ten kraj. W Derażnem nad Horyniem kupił dom z parkiem i parudziesięcioma hektarami ziemi, co z tym, co pozostało z antonińskich lasów, stworzyło siedzibę dla przyszłej rodziny. Ożenił się z naszą Matką, Anną Czetwertyńską, córką Seweryna, wicemarszałka Sejmu

i posła ziemi podlaskiej do 1935 roku. Przemieszkali w swoim domu 10 lat od 1929 do 1939 roku i tam urodziła się im piątka dzieci.



Derażne, dom nad rzeką Horyń zakupiony i odremontowany przez naszego Ojca w 1928 roku



Pomorzany pod Tarnopolem, zamek odbudowywany po zniszczeniach I wojny przez Suzanitę i Jerzego Potockich



Roman i Anna Potoccy — narzeczeni, Milanów 1928 rok,
z tyłu siedzą: babka — Włodzimierzowa Czetwertyńska,
siostra Marjózia Grocholska i matka Zofia z Przeździeckich
Czetwertyńska. Stoją: Helena Potocka, matka Romana,
Zofia Zamoyska, cioteczna siostra, stryj Włodzimierz
Czetwertyński oraz Ludwikowa Czetwertyńska

W tym samym mniej więcej okresie, na przelomie lat dwudziestych i trzydziestych ożenili się pozostali bracia: Jerzy z Suzanitą de Yturregui, peruwianką ze starej hiszpańskiej rodziny, o dużych aspiracjach intelektualnych. Suzanita języka polskiego nauczyła się szybko i władała nim biegle. Mieli jedyne go syna Stanisława. Odbudowywali na kresach śliczne Pomorzany, dwór, a właściwie zamek o wiekowych polskich tradycjach.

Józef ożenił się z Krystyną córką Janusza Radziwiła z Nieborowa, również męża stanu II Rzeczypospo-

litej. Alfred, najstarszy z braci, nie ożenił się aż do późnych lat, kiedy po śmierci Matki pozostał samotny na obczyźnie.

Wielkimi miłościami Alfreda Potockiego była Matka i Łańcut. Sprawy związane z tzw. ordynacją zajmowały go niepodzielnie. Można się dziś zastanawiać mało owocnie, czy poza sercem, które miał dla tej siedziby i związanego z nią życia, dobrze to robił. Jak zwykle w takich przypadkach, trudno o jednoznaczną odpowiedź. Tak — bo był jej niezmiernie oddany, lubiany przez ludzi zatrudnionych w Łańcucie i nie tylko przez nich. Nie — bo nie miał ani przygotowania, ani zdolności menedżerskich do prowadzenia tak dużego przedsięwzięcia. Musiał więc zdawać się na innych, często lekceważony i wykorzystywany przez spryciarzy, a tacy się zawsze kręcą wokół osoby łatwowernej o miękkiej naturze.



Zamek Łańcucki, zdjęcie przedwojenne



Elżbieta Potocka, matka
Alfreda z pekińczykiem
Pinki zdjęcie z końca
lat trzydziestych



Staś Potocki, syn Jerzego
i Suzanity Potockich, ukochany
wnuk i bratanek, który
dzieciństwo spędził głównie
w Łańcucie. Tu z orkiestrą
łańcucką, 1935 rok

Bardzo wiele spraw przeniesionych z dawnego systemu wiązało mu ręce. Wiadomo, że sanacja w przedsiębiorstwie wymaga twardych cięć, że zmiana systemu gospodarczego wymaga przestawień i nowego sposobu zarządzania. Było to wszystko niezmiernie trudne do przeprowadzenia w Łańcucie, gdzie tradycja i zasiedziałość były pokoleniowe, a gospodarz miał bardzo miękką naturę, co przysparzało mu wiele krytyki z zewnątrz i wiele wdzięczności od ludzi, którzy jego serca doznali. W momencie, gdy należało ludzi zwalniać przyjęto wielu antonińskich, „bo przecież nie można

zostawić w trudnych chwilach ludzi, którzy swój byt związali z rodziną, często od pokoleń”. Równocześnie, młode państwo polskie śrubowało podatki, tak ze względów gospodarczych, jak politycznych. Wymuszano w ten sposób parcelację, słuszną z uwagi na przeludnienie wsi w nieuprzemysłowionym kraju, choć to raczej majątki gwarantowały nowoczesniejszą produkcję rolną i racjonalną gospodarkę leśną. Były to często przeciwstawne interesy, trudne do pogodzenia i tyle różnych spraw na nie rzutowało, że nie pokusiłabym się ich osądzać. Z tym wszystkim Łącut podjął się jeszcze roli salonu Rzeczypospolitej, a jest i była to zawsze rola kosztowna. I tak np. wizyta rumuńskiej pary królewskiej ze świtą przekroczyła niemalże dwukrotnie przyjęty kosztorys. Te sumy Łącut musiał wyłożyć, następnie z opóźnieniem z uwagi na rok obliczeniowy, odpisywano to ordynacji od podatków i do tego w pierwotnym kosztorysie. Dla każdego prowadzącego interesy jasna jest deficytowość takich posunięć. Dla Alfreda i Jerzego Potockich był to dalszy ciąg działalności politycznej przodków, czyli tradycji od której się nigdy nie odzegnali. Szczegóły różnej materii odnośnie tych wizyt znam od Ojca, który w wielu z nich uczestniczył. I tak np. bardzo opisywana w prasie wizyta księstwa Kentu, była mimo swojej oficjalności wizytą organizowaną przez właścicieli Łącuta. Inne były organizowane na prośbę rządu. Czy miało to znaczenie dla kraju — na pewno!

Jeśli chodzi o wizytę rumuńską, to przecież granica z Rumunią była jedyną przyjazną i ściśle związki z tym krajem leżały w najwyższym interesie państwa polskie-



Wizyta ks. Kentu. Siedzą od lewej: Adamowa Potocka, Maria Beckowa, ks. Kentu, Romanowa Potocka, ks. Lichtenstein. Stoją: (drugi od lewej) Aleksander Kozielił–Poklewski, Alfred Potocki, Eryka Lubomirska, Benedykt Tyszkiewicz, min. Józef Beck, p. Zofia Kozielił–Poklewska, ks. Kentu, Józef Potocki, Roman Potocki, Dominik Radziwiłł, Betka Czartoryska

go, co późniejsze wypadki potwierdziły. Wizyta w pamięci ówczesnych panujących w Rumunii zachowała się w najlepszej pamięci, choć jak twierdził mój Ojciec, zachwiała w pewnym momencie równowagę budżetu ordynacji.

Kolejne lata pogłębiały kryzys Łańcuta. Do wymienionych już przyczyn trudności przestawienia zarządzania na nowe warunki oraz życia ponad stan w rozumieniu nie tyle własnych potrzeb, co roli Łańcuta, doszły nieprzewidziane wypadki. Do takich należał spadek po Mikołaju Potockim, mieszkającym w Paryżu dalekim krewnym Alfreda, który uczynił go swym spadkobiercą. W pierwszej chwili mogło się wydawać, że los uśmiechnął się do Łańcuta czy też jego właścicieli.

Taki spadek to nie tylko sukces osobisty, ale i wsparcie ordynacji w trudnych kryzysowych latach. Niestety ten złudny miraż nie przyczynił się w żaden sposób do zwiększenia ciągle brakującego kapitału, wręcz przeciwnie. Przyczynił się wprawdzie do powiększenia stanu posiadania o parę dzieł sztuki czy obiektów, kosztownych w sprowadzeniu i utrzymaniu, jak chociażby powozy i wielkie konie hackneye po wiedeńskiej szkole specjalnego chodu.

Równocześnie, ponieważ prasa rozpisywała się o sumach równie kolosalnych, co *de facto* nie istniejących, w każdym razie dla Alfreda, opinia zrobiła z niego krezusa i sobka. Do Łańcuta napływały prośby od ludzi prywatnych i instytucji o wsparcie i o to, co dziś nazwałoby się sponsorowaniem. Łańcut miał swoją listę stałych pomocy, często organizowanych z parafią czy parafiami plus sporadyczne pomoce ludziom. Wiem z przekazów rodzinnych, że po wiadomościach prasowych posypała się lawina prośb. A jak się rzeczy miały? Wybór Alfreda na spadkobiercę przez Mikołaja Potockiego, człowieka który od zawsze mieszkał w Paryżu, a miał w Polsce bliższą, niezwykle szacowną rodzinę, państwa Franciszków Potockich mieszkających w Krakowie, był wynikiem nie sympatii do człowieka, bo tego prawie nie znał, był wynikiem dwóch warunków. Po pierwsze, że to musi być Potocki, po drugie, że musi być bogaty, bez większych wad i obciążeń rodzinnych. Takie uwarunkowania były logiczne, tak z tradycji rodowej, jak i zamierzeń spadkodawcy. Mikołaj chciał, by zebrany przez niego dorobek wrócił do Polski, a to nie było proste i wymagało starań, pieniędzy i odpowied-

niego miejsca, czy na wystawienie czy użytkowanie. Zamek w Łańcucie był w tym trudnym dla Polski czasie jedynym miejscem, gdzie to było możliwe. Alfred Potocki wymaganym kryteriom odpowiadał, był kawalerem bez nałogów — jak mówił mój Ojciec — nie odróżniał kiera od pika. Granie i to hazardowe było modą i przywarą poprzedniego pokolenia. Jeśli chodzi o wady to był łakomy na słodczyce i lubił się dobrze i drogo ubierać. Te jego przywary pamiętam osobiście z różnych sytuacji, czasem zabawnych, czasem pożytecznych, jak ubieranie wielu potrzebujących, w tym mojego starszego brata we wspianiałych garderobianych szafach Stryja. Były jak londyński sklep! Miałyśmy z siostrą w użytku wspianiałe golfowe sweterki, których lekkie sfilcowanie doprowadziło wymiary z niedużego Stryja na wyrosnięte bratanice.

Alfred Potocki był niskiego wzrostu, wczesnie łysiejący i ze skłonnością do tycia. Był z tego powodu nieco skompleksowany. Ponadto był to człowiek bardzo nieśmiały, budzący równocześnie szacunek, między innymi swoją niesłychaną grzecznością wobec wszystkich. Wszelkie zarzuty o hulaszczym trybie życia czy złych nawykach są pomówieniem. Alfred był przeciwieństwem hulaki, tak z natury, jak wychowania, był to człowiek szczerze religijny. Jeśli chodzi o talenty, to był wspianiałym organizatorem życia towarzysko-sportowego i reprezentacyjnego Łańcuta. Czy była to zaleta? W rozumieniu ówczesnych wymogów — na pewno tak, zwłaszcza że jako pan domu spełniał rolę „służebną”, był na usługi tych, których gościł, czy to byli ministrowie, książęta, zwykli ludzie czy dzieci.



Alfred Potocki z dziećmi, Netą, Heleną i Markiem Potockimi,
Łańcut, lato 1940 rok

Wracając do sprawy spadkowej to dla rodziny, zwłaszcza naszego Ojca zorientowanego w sprawach finansowych Alfreda nie ulegało wątpliwości, że stary Mikołaj, który sam prowadził swoje interesy, znał ludzi i francuskie stosunki, dobrze zdawał sobie sprawę, że cały ten spadek jest trudnym orzechem do zgryzienia. Operacja wymagała koneksji francuskich i wyłożenia sporych sum, zanim z wieloma trudnościami i pozwoleniem najwyższych władz uzyskało się gładki na wywiezienie bliżej niewiadomej sumy do Polski. Testament na rzecz Alfreda obejmował nieruchomości, w tym pałac w Paryżu wyceniony na bardzo dużą sumę, natomiast nie gotówkę. Przeprowadzenie wszystkich dzia-

łań prawnych, a nawet towarzyskich, bo i takie należały do zobowiązań spadkobiercy, wymagało wyłożenia sporych sum, a Łańcut kapitału nie miał.

Mikołaj Potocki, przeżywszy niemal całe życie zagranicą, pod koniec życia zbliżył się do kół polskich, stał się polonijnym działaczem, lożącym na cele polskie, zwłaszcza na polską armię we Francji (Eugeniusz Romer: *Pamiętnik paryski 1918–1919*). Sprawował opiekę nad żołnierzami polskimi (Witold H. Trawiński: *Pamiętnik*). Pieniądże rozdysponował, opłacił swój pogrzeb, pozostawiając Alfredowi cały bogaty balast swojego nieruchomego posiadania, obciążony różnymi donacjami. Wobec trudności kryzysowo–finansowych, jakie przeżywały kraje europejskie po I wojnie światowej, nikt nie chciał wypuścić dużej sumy z kraju. Całość obciążono najwyższym możliwym 65% podatkiem spadkowym, z uwagi na bardzo dalekie pokrewieństwo spadkodawcy ze spadkobiercą. Rzeczywiście te rodziny się rozeszły jeszcze w XVII wieku, rozgałęzione po synach Hetmana Rewery Potockiego. Następnie na resztę nałożono sekwestr, uzasadniając ten manewr oprotestowaniem testamentu przez Alfreda, syna Hieronima Świejkowskiego, nieżyjącego już brata matki Mikołaja, która się rozeszła z mężem za dziecięcych lat syna. Nasz Ojciec, który przed wojną doradzał Alfredowi pewne konieczne cięcia i orientował się w jego sprawach, uważał, że miękka natura Alfreda nieraz go blokowała, ale w przypadku nieszczęsnej sprawy spadkowej po Mikołaju był pewny, że sytuacja Alfreda była patowa.

W polubownym, a tylko takie było możliwe, załatwieniu sprawy, miejscowa palestra podyktowała warunki. Podatek, grożący proces w wyniku zakwestionowania testamentu, rozliczne wydatki oraz zabezpieczenie tzw. donacji francuskich (dla służby i przyjaciół Mikołaja Potockiego) zredukowały głoszone sumy spadkowe do 10%. W sytuacji, w jakiej się znalazł, pieniaczenie się zrujnowałoby go, nie mówiąc o takich liczących się względach, jak prestiż rodziny, a nawet kraju, bo sprawa była głośna. Dżentelmeni o pieniądze się nie kłócą, a Alfred był na pewno dżentelmenem. W efekcie znalazł się w dość krótkim czasie ze zobowiązaniami wynikłymi z zapisów testamentu, bez pokrycia w środkach z tegoż. Czy popełnił błąd umieszczając owe nieszczęsne 10% w bardzo rozreklamowanej polskiej spółce węglowej, licząc, że z dywidend spłaci tzw. polskie legaty, dla Franciszków Potockich i pianisty Zygmunta Dygata (w późniejszych rozliczeniach okazało się, że nie zabezpieczono dwóch legatów francuskich z długiej listy obdarowanych przez Mikołaja, co było obowiązkiem biura notarialnego, a zatem i one spadły na Alfreda). W tym czasie, czyli w połowie lat dwudziestych nagłośniono apel narodowy o lokowanie posiadanych kapitałów właśnie w polskim węglu. Na pewno bezpieczniej było pozostawić je we Francji, co Alfredowi radzono. Dopieroż opinia by go zjadła, a przy tym Alfred był autentycznym patriotą. Spółka zbankrutowała, podobno ktoś ją następnie odkupił, o uszy obily mi się nazwy Laura, Robur, PTH (Polskie Towarzystwo Handlowe). W tamtych czasach bankructwa były częste, a fortuny niepewne. Alfreda, pewnie dla

reklamy, po owych nagłośnionych krezusowych zapisach ciągnano po różnych Radach Nadzorczych, nie wiem, czy coś z tego miał i wątpliwe, czy się na tym znał.

Wynikły z zapisu niewielki legat był wysyłany do Francji do 1940 roku pianiście grywającemu Mikołajowi Potockiemu w ostatnich dwóch latach jego życia, Zygmuntowi Dygatowi. Dość znacznego legatu na rzecz państwa Franciszków Potockich Łańcut nie był w stanie spłacać już w połowie lat trzydziestych. Oповідаł mi Konstanty Potocki, syn Franciszka, jakie było zakończenie tej zadry, a nawet procesu z Łańcutem. Po prostu państwo Franciszkowie, niezwykle zacni ludzie uznali, że ów niewypłacony, czy niewypłacalny legat nie może zakłócić ich dotąd bliskich i rodzinnych stosunków, zwłaszcza wobec zawieruchy wojennej. W pierwszym roku wojny przyjechali do Łańcuta, by nawiązać zerwane stosunki. Podobno Alfred nie posiadał się z radości. To mogę sobie dobrze wyobrazić, te niezawinionne, a honorowe nieuregulowane zobowiązania bardzo mu doskwierały. Po paru latach wspólnych przeżyć wojennych nasza Matka, osoba o trzeźwych i sprawiedliwych sądach, bardzo wysoko oceniła Alfreda. Nie tylko za rodzinną solidarność, ale za dobroć, uczciwość, a nawet odwagę wobec różnych odpowiedzialności, z jakimi przyszło mu się mierzyć w tych niełatwych czasach. Alfred do końca życia, a nawet za grób nie mógł się uwolnić od nieprzewidzianych ani przez niego, ani przez Mikołaja konsekwencji tego — zdawałoby się — daru z nieba, jakim był testament bogatego wuja z Paryża.

Innym rodzajem zobowiązań, jakie Łańcut brał na siebie, były koszta związane ze służbą dyplomatyczną Jerzego, rodzonego brata Alfreda. Alfred bardzo podziwiał brata, oboje z matką sekundowali jego karierze, najpierw wojskowej, później dyplomatycznej. W 1933 roku, Jerzy już wówczas żonaty i mający syna, został powołany na stanowisko ambasadora Polski do Rzymu. Wezwany do Warszawy, został przed ostatecznym przyjęciem tego stanowiska poproszony do Belwederu, do Marszałka Piłsudskiego. Wzajemny stosunek tych dwóch ludzi był bardzo specjalny. Marszałek miał do Jerzego stosunek ojcowski, nie tylko z uwagi na jego młody wiek, ale, a może przede wszystkim, na podobieństwo Jerzego do brata matki, Stanisława Radziwiłła, wielkiego przyjaciela i, jak twierdził mój ojciec, jedyne prawdziwego powiernika jego zamysłów politycznych. Szczerze interesował się karierą wojskową młodego człowieka, zrobił go swoim adiutantem, posyłał w różne misje, ceniąc trzeźwą inteligencję i oddanie Jerzego sprawom polskim. Jerzy, który stosunkowo wcześniej stracił ojca, odpłacał mu to zainteresowanie bezwzględnym zaufaniem.

Nie wiemy, jak przebiegła rozmowa w Belwederze, wiadomo tylko, że Marszałek odradził Jerzemu Potockiemu przyjęcia nominacji. Jerzy powrócił na Podole do przerwanych robót nad odbudową Pomorzian. Jednak w pół roku później powołano go na stanowisko ambasadora do Ankary i tym razem Marszałek miał swoje zamysły polityczne, które powierzył Jerzemu Potockiemu (szczegóły dotyczące tych misji można odnaleźć w *Polskim słowniku biograficznym* PAN pod hasłem — Potocki Jerzy). Służba nie družba. Data objęcia placów-



Jerzy Potocki w okresie wojny
bolszewickiej



Stanisław Radziwiłł
syn Antoniego
i Marii de Castellane

ki była wyznaczona, ale nie było siedziby. To, co Jerzy zastał na miejscu nie nadawało się na biura, a co dopiero na mieszkanie i to z rodziną.

W Istambule, drugiej polskiej placówce w Turcji, jedynym źródłem wody była studnia na podwórzu. Wiedząc, że ustalenie kosztorysu koniecznych robót, wysłanie tej całej dokumentacji do Warszawy, nie mówiąc o przepychankach, pochłonie mnóstwo czasu, aktywny i prędko w decyzjach Jerzy zamówił natychmiast konieczne roboty na swój koszt. Ponieważ odbudowujący się po zniszczeniach wojennych ziemianie pieniędzy do dyspozycji nie mieli za wiele i tym razem trzeba było skorzystać z pożyczek. Tak się na razie szczęśliwie złożyło, że Jerzy uzyskał potrzebną sumę w znajomym kantorze w Salonikach. Ów kantor, czy mały bank

proceedził, niemalże zaprzyjaźniony z braćmi Potockimi, niejaki Stefan Vlasto. Piszę zaprzyjaźniony, bo rzeczywiście ze zrozumieniem i ochoczo dofinansowywał ich zawsze za chude budżety w czasach kawalerskich, czasach jeszcze CK, czasach ich dość niesłychanych polowań po świecie. Gdy Jerzy Potocki znalazł się w trudnej sytuacji w obliczu oplakanego stanu polskiej placówki ambasadorskiej, Vlasto był najbliższy i pożyczka u niego nie stanowiła problemu. Nie wykluczone, że dopisano ją do jakiegoś wcześniejszego długu, z tym wszakże, że wszelkie pożyczki podpisywano gładko pod dobra ordynacji łańcuckiej. Wschodnie Pomorzany Jerzego nie były gwarancją. Czy rachunki za roboty zostały wysłane do Ministerstwa, czy starym zwyczajem z dużą zwłoką zostały odpisane od jakiegoś podatku łańcuckiego — nie wiadomo. Skąd znam szczegóły tej historii? Od Ojca; nie tylko dlatego, że żył blisko z Jerzym, ale również dlatego, że Jerzy był doskonałym opowiadaczem, a perypetie istambujskie ze studnią, robotnikami tureckimi i przygodami całej tej przeprowadzki opowiadał jako jeden ze swoich numerów popisowych. Zabawne, że echo tych opowiadań znalazłam we wspomnieniach pana Budnego, sekretarza ambasady polskiej w Waszyngtonie. Okazuje się, że Jerzy Potocki zabawiał swymi opowiadaniem prezydenta Roosevelta, który bardzo lubił jego towarzystwo.

Wracając do wątku tureckiego remontu, to fakt pozostaje faktem, że weksle wypisane na dobra łańcuckie pozostały w rękach Vlasty. Sądząc z zestawienia wierzycelności łańcuckich z 1935 roku — spłaty Vlasty, renta Dygata oraz spłata pożyczki ciotki Radziwiłłowej (żony niezującego Stanisława Radziwiłła), która



Pożegnanie ambasadorowej polskiej w USA Suzaniny Potockiej. Stoją od lewej: Alfred Potocki z bratankiem Stasiem Potockim, jego opiekunka, matka Alfreda — Elżbieta Potocka z synową, Suzanitą Potocką, i orkiestra łańcucka na dworcu w Łańcucie, 1937 rok

wspomogła Alfreda w czasie jego zmagania paryskich, były traktowane priorytetowo. Czy warto o tym wspominać, cóż to ma dzisiaj za znaczenie, jeden weksel spośród wielu łańcuckich długów? Otóż właśnie ten weksel miał zasadnicze znaczenie dla późniejszych losów łańcuckich obiektów i przyczynił Alfredowi Potockiemu wiele strat, przykrości i złej sławy, bez jego woli i winy. Cóż za pecha miał ten człowiek: splendor Mikołajowego spadku i gest brata uwikłały go nie tylko w trudne zobowiązania finansowe, ale i w wiele pomówień. Alfred znosił to złe fatum z godnością, nigdy się nie tłumaczył. Póki istniała administracja łańcucka ro-

biono łamigłówek, by narastające zobowiązania pomieścić w nie zawsze korzystnych, jak to z rolnictwa, przychodach. Wobec mnożącej się konkurencji, nawet dochody z browaru i fabryki wódek nie dawały wystarczającego zabezpieczenia. Na pewno wiele oznak świetności, jak stajnie, stadnina w Albigowej, nie mówiąc o zamku i innych utrzymywanych obiektach były luksusem, ale Łańcut nie byłby Łańcutem bez tych splendorów. Padł nie z bankructwa, co mu groziło, ale razem z drugą Rzeczpospolitą, której służył, a historia okresu wojny, to już tylko smutna końcówka minionej epoki.

Lata wojny

Rok 1939 zastał braci Potockich w różnych stronach Polski i świata. Alfreda z Matką w Łańcutcie. Jerzego na placówce ambasadorskiej w USA, gdzie w nagłym trybie został przeniesiony wprost z Ankary w 1936 roku, *nota bene* też odnawiał na swój koszt budynek ambasady polskiej w Waszyngtonie, nie mówiąc o jej utrzymywaniu.

Romana z Matką i rodziną w Derażnem w jego siedzibie nad Horyniem na Wołyniu, a Józefa w Warszawie jako już wieloletniego urzędnika i dyplomatę polskiego MSZ. Roman został w końcu sierpnia 1939 roku zmobilizowany i dobił do swojego pułku w Równem. Józef otrzymał polecenie wywiezienia archiwów MSZ w związku ze zbliżającym się do Warszawy frontem. W tym czasie jego żona i trzy córki były u rodziców żony, Januszów Radziwiłłów w Ołyce na Wołyniu, wydawały się bezpieczne, bo daleko od frontu. Jak

się wypadki potoczyły, wszyscy wiemy, w pewnym momencie najbardziej zagrożone okazały się rodziny na wschodzie Polski. Z najbliższych sąsiadów Derążnego nie uchwalił się nikt, bracia Lubomirscy, Jezierski, Dowgiałło, Ledóchowski zostali zamordowani, wywiezieni bez echa, bądź zginęli w Katyniu. Wymienieni są symboliczni wobec tego co się działo. Na północnym Wołyniu miejscowa ludność rusińska, bo tak ich zwano, w obliczu wejścia Sowieców pozostała bierna. W stosunku do właścicieli ziemskich zasadniczo lojalna, mimo prób organizowania jej przez różnej maści agitatorów, zbyt dobrze znała nieszczęścia swoich po drugiej stronie granicy. Wszyscy Polacy na wschodnich terenach objętych okupacją sowiecką byli zagrożeni: i miejscowi jak my, i rzesze uciekinierów spod frontu niemieckiego, o wojskowych nie wspominając — ta karta jest dobrze znana. Sprawa zaszeregowania do kolejnych wywózek była w rękach tzw. komisarzy ludowych znających teren i miejscowe stosunki. Nie jest moją intencją doszukiwanie się ich proveniencji i zażyłych stosunków z przyniesionymi przez falę frontu oficerami NKWD.

Naszą rodzinę, ograbioną i wyrzuconą z domu trzymano stosunkowo długo w warunkach „internowania”. Mieliśmy wiadomości, że rodzina z Ołyki już z końcem października znalazła się w drodze na Wschód. Piszę internowania, bo praktycznie nie mieliśmy żadnej możliwości ucieczki, żadnego środka lokomocji, same kobiety i dzieci. Sytuacja naszej Matki, obciążonej chro-
mą staruszką teściową, pięciorgiem dzieci w wieku od roku do dziesięciu lat i trzema kobietami oddanych, ale bezradnych domowniczek była dość beznadziejna.

Podobno w pierwszej fazie liczone, że nasz Ojciec - będzie nas odbijał, byłaby to gratka dla naszych prześladowców ująć tego Potockiego, który dwa razy im się wywinął na wojnie dwadzieścia lat wcześniej. Raz, z prowizorycznego więzienia razem z pilnującym go Ukraińcem, drugim razem — przechowany na plebanii w Szepetówce zawinięty w kościelnym dywanie. Nasza opóźniająca się wywózka spowodowana była przypuszczalnie trudnościami transportowymi bolszewików. Derażne, odcięte polnym piaszczystym gościńcem od wszelkich szlaków kolejowych, wymagało zorganizowania transportu, a sporo zrabowanych dóbr było do wywiezienia przed nami. Wywożono, co tylko było do wywiezienia z domu i gospodarstwa. Nasze wspaniałe, jeszcze z sanguszkowskiej stadniny arabskie konie, wyjechały nawet porządnie odprowadzone z metrykami, co ucieszyło naszą matkę, bo stwarzało nadzieję, że trafią do jakiejś stadniny. Żołnierze ciąli las i wywożono drewno, ciąli na poziomie rąk, co zostawiało smutny leśny cmentarz. Lasy były oczkiem w głowie naszego Ojca i były bardzo dobrze prowadzone.

My dzieci w każdych warunkach znajduwaliśmy zabawę i odprężenie, byle ukochane osoby były z nami. Lepiej pamiętam topografię naszego własnego domu i ogrodu. Z tego wysiedleńczego zapamiętałam ogród i zabawę w Indian, pewnie dlatego, że byłam przywiązywana do drzewa jako biała, oraz wyczyny naszego brata na świni, którą dosiadał przepuszczając ją przez furtkę w ogrodzie. Naszą Matkę zamęczała obawa i nerwy o wszystkich, była głową tej małej społeczności. Właśnie donieśli jej miejscowi, których bezskutecznie



Maryńcia, Roman, Elżbieta i Helena Potoccy
z naszą Mademoiselle, Derażne 1938 rok

przeciw nam judzono, że planowane jest wywiezienie Jej do więzienia w Moskwie, a resztę tam, gdzie większość kobiet i dzieci, pewnie do Kazachstanu.

Moje wspomnienia z Derażnego, to różne zapamiętane miejsca i przeżycia, głównie z ostatniego 1939 roku, ciekawe, że nie dotyczą one wejścia Rosjan. Dorośli osłaniali nas dzieci, a może ilość wstrząsających późniejszych opowieści zaćmiła moje własne. To, co się działo nie było na miarę moich lat. Zachowane przeze mnie obrazy z tego pamiętnego roku, dotyczą moich

dziecinnych radości i tragedii jak np. wyjazdu trójki starszego rodzeństwa do Lwowa dla obejrzenia sensacyjnego na owe czasy filmu Walta Disneya „Królewna Śnieżka”; żal mojego pozostania, polegający pewnie na głośnym płaczu, wynagrodził prezent od wspaniałego oficera w mundurze — wielu wojskowych przyjaciół Ojca u nas bywało — był to srebrny ołówek z czterema kolorowymi wysuwanymi sztyftami, miałam go wiele lat. Pamiętam próby wdrapywania się na osiołka Kwiatka, a może była to jego mama Szarlotka, starsze rodzeństwo jeździło konno, a ja się koni bałam, co było powodem ich docinków. Osły umiejętnie pozbywały się mojej osoby podjeżdżając pod niskie gałęzie, raz powiesiły mnie na drzewie na włosach, które miałam wyjątkowo gęste i mocne, Ojciec nazwał mnie Absalonem, a rodzeństwo miało dodatkowy powód do docinków. Pamiętam wyjazd do Równego końmi do dentysty, z powodu pierwszego w życiu bólu zęba. Ale największym przeżyciem był 18 sierpnia 1939 roku. Był to bardzo uroczyste obchodzony dzień imienin naszej babki Heleny Potockiej, tradycja wielkiego zjazdu w Antoni-nach. W 1939 roku wielkiego zjazdu nie było, mimo optymizmu, wisiała nad nami groźba, a ja — również Helena — dostałam tak dużo i tak wspaniałych zabawek, jakby się świat kończył. Na czerwonej drezynie, prezent od dziadków Czetwertyńskich z Suchowoli jeździłam po tarasie naszego domu, dużym szerokim tarasie z zadaszeniem na kolumnach, które wieńczyły nasz dom od strony wysokiej skarpy nad Horyniem.

W parę dni później była następna uroczystość, ale w jakże innym nastroju — był to pożegnalny wieczór

przed porannym wyjazdem zmobilizowanego naszego Ojca do pułku w Równem. Z wszystkiego, co zapamiętałam z tamtych lat ten obraz najbardziej wrył mi się w pamięć, nastrój był podniosły i napięcie otwierającej się przed nami niewiadomej odczuwalne. Zapamiętałam i podniosłość, i nastrój. Cała scena została mi w pamięci jak wymalowany obraz. Mama w czarnej wieczorowej sukni grająca na fortepianie, grała świetnie, miała ukończone konserwatorium warszawskie, obok Ojciec w mundurze i nasza czwórka, bo najmłodszy brat Marek był niemowlęciem, na niedźwiedziej skórze przed kominkiem. Kiedy w wiele lat po wojnie, w końcu lat siedemdziesiątych Mama zamieszkała z nami w Gliwicach, w naszym raczej w założeniu robotniczym czworaku z lat trzydziestych, zrobiłam kominek, kupiłam pianino i rozłożyłam sarnią skórę. Nie mam złudzeń, że nic z tego ciasnego wnętrza nie nasunęło Mamie skojarzeń z Derażnem, ale czasem zeszytywniałymi palcami próbowała coś grać i grzała się przed kominkiem. Niełatwe miała te 40 lat, które dzieliły ją od momentu opuszczenia swojego domu, a zwłaszcza od tych rozpaczliwych trzech miesięcy po wejściu Sowietów.

W tym właśnie czasie w Łańcucie Alfred i jego Matka, nie mając od nas znaku życia ani żadnych wiadomości i przeczuwając, że grozi nam śmiertelne niebezpieczeństwo, zaczęli szukać jakiejś drogi kontaktu, czy wręcz pomocy. Znaleźli ją w osobie świecko noszącej się zakonnicy, która dla potrzeb swojego zgromadzenia czy innej organizacji, już przekraczała kilkakrotnie nielegalnie ową osławioną i pilnie strzeżoną granicę między dwoma okupacjami. Wiedziała, gdzie i za ile

można ją przekroczyć. Zjawiała się nad Horyniem 6 grudnia, w dzień Św. Mikołaja i urodzin naszej Mamy i natychmiast bez chwili odpoczynku kazała wszystko organizować do wyjazdu. W nocy dwóch oddanych Rusinów na furach czy saniach z sianem przy 30° mrozie wywiozło nas do najbliższych stacji, Klewań i Kiwerce. To rozdzielenie było również wkalkulowane w plan działania naszej przewodniczki. Ryzyko wpadki było równie prawdopodobne jak wyjścia z tego potrzasku, należało je maksymalnie zredukować. Niesłychane! Był pościg. Jedyłą rozpoznawalną osobę, naszą matkę, ukryli kolejarze, reszta zakutana w chłopskie chusty zatonała w morzu uciekinierów zalegających stacje. Nasza ucieczka wydawała się niemożliwa. Rzeczywiście bez kogoś z zewnątrz, znającego przejścia, świadomego zagrożeń i mającego dokładnie opracowany plan możliwości prześlizgnięcia się przez rozliczne pułapki było to nierealne dla tak dużej i charakterystycznej grupy. Pamiętam, jak po latach, już w Krakowie, dwóch panów opowiadało Mamie swoje przejścia w identycznej sytuacji pełnej napięć i zagrożeń, byli uzbrojeni i stwierdzili, że broniliby się do ostatniego naboju i żywych by ich nie dostano. Mama siedziała milcząca i nie zdradziła ani swoich przeżyć, ani myśli, które ja bez trudu odczytałam — odczucia wielkiej pokory i wdzięczności wobec opatrności Bożej.

Radziwiłłów z Ołyki i Czetwertyńskich z Żołódka wyciągnęła z transportu, czy już więzienia w Moskwie Biszeta Radziwiłłowa, bratowa Elżbiety i Heleny Potockich. Te osiemdziesięcioletnie panie nie miały złudzeń. Biszeta, mieszkająca kiedyś w Rzymie, zwróciła

się do włoskiej pary królewskiej, ci do Ciano, a ten z kolei do Kancelarii Rzeszy. Jakie były wówczas stosunki na tej osi z Moskwą — wiadomo. Ci ludzie zadziałali skutecznie na tyle, na ile mogli i dla tych, dla których mogli i chwala im za to. Bezczytność czy biadolenie nie ulżyłoby doli zagrożonych, a że staruszka przez rzymskie znajomości uruchomiła samego diabła, tym większe uznanie. Na ówczesne władze w Rosji działał tylko rozgłos światowy, żadna pozycja, żadne proveniencje osób, te wręcz przeciwnie. Jako osoba wierząca nie wątpię, że nas i tych, którzy się o nas tam w niedoli martwili, modlitwa prowadziła tak, że w czasie i przestrzeni nasza potrzeba i wysłana pomoc się skrzyżowały, ale Opatrzności trzeba pomagać działaniem. Wiemy z późniejszych doniesień, że była to rzeczywiście ostatnia chwila.

Te trzy miesiące rozpaczliwego miotania się dwóch kobiet, młodszej matki i starszej babki w sytuacji zagrożenia opisała starsza z nich Helena Potocka. Mimo prawdziwości odmalowania napięcia i trudności całej tej sytuacji nasza Babka nie знаła wielu szczegółów znanych naszej Matce. A pewnie i Ona nie znała zarządzenia Sierowa o rozdzielaniu głowy z resztą rodziny, choć o możliwości rozłączenia jej z dziećmi powiadomili ją miejscowi, których zmuszano do głoszenia potępięńczych sądów o nas. Babka nasza mimo wieku i kalectwa była niepoprawną optymistką, trudne chwile wyzwały w niej zdrowy sen, w przeciwieństwie do Mamy, którą groza sytuacji zamęczała nerwowo.

Naszą drogę, szlakiem wytyczonym przez naszą przewodniczkę gdzieś na północ dla zmylenia pogoni,

pamiętam jak przez mgłę, ale pamiętam — za mocne były to wrażenia, by je zapomnieć. Te dziwne dojazdy, raz sankami, raz w zbryzganej krwią budzie, niewielkiego, bo byliśmy stłoczeni, auta do wożenia mięsa. Te spania na ziemi i stołach — zapamiętałam stół bilaradowy w jakiejś restauracji czy knajpie — to działa na wyobraźnię pięciolatka. Pamiętam przechodzenie granicy po zmarzniętej zaoranej grudzie z najmłodszym bratem uśpionym bromem, na rękach naszej niani Tity i kłótnie tragarzy niosących na prowizorycznych noszach naszą Babkę, którą wielokrotnie upuszczali na tę twardą grudę. Kłócili się naturalnie o pieniądze, uznając, że sprawa jest trudniejsza niż przewidywali. Mama była u kresu możliwości finansowych, mimo przywiezionego wsparcia, tam każdy krok kosztował. Ryzyko może rzeczywiście było po stronie przemytników, nas czekało zawsze to samo — wywózka. Mimo że mrozy w tych rejonach kraju były zawsze duże, ten grudzień był wyjątkowy — mrozy były nocą ponad trzydziestostopniowe. Po przejściu nocą tzw. zielonej granicy padłam, tak jak stałam na wiązce słomy leżącej przy drzwiach chałupy, do której dobiliśmy — zasłonięta drzwiami i nie zauważona przez nikogo. W tej napiętej chwili moja nieobecność wywołała panikę. Obudzono mnie, może nerwowo, może z pogniwaniem, a ja przez te trzy miesiące zmagających starszych, zapamiętałam ich jako spokojne, kochane istoty obok i natychmiastowe zabawy, jakie znajdują sobie dzieci w każdej sytuacji. Zapamiętałam też, jak mi się zdawało, olbrzymiego niemieckiego żołnierza, który już po drugiej stronie nad ranem przeprowadzał mnie przez kładkę nad wodą,

czy resztkami mostu — od dziecka miałam lęk przestrzeni. Zdawało się wtedy, że przechodzimy na „lepszą stronę okupacji”.

Nasza Babka, którą nazywaliśmy Muni opisuje graniczące z cudem spotkanie przed samymi Świętami Bożego Narodzenia wszystkich uratowanych, nas i tych z Moskwy, w Warszawie w hotelu Europejskim u dziadków Czetwertyńskich, a potem jazdę do Łańcuta i przyjazd na samą wigilię. Do Łańcuta pojechała z naszą Babką tylko trójka młodszych dzieci z nianią Titą, Mama z dwójką starszych od razu wyruszyła do rodziców na Podlasie. Jazdy pociągiem do Łańcuta zupełnie nie pamiętam, musieliśmy być śmiertelnie zmęczeni, ale pamiętam przyjazd końmi ze stacji, wjazd do sieni zamku i radość spotkania, taką radość po wielkich przeżyciach. Zaraz potem była wigilia, drzewko, cudowny nastrój i męka mlecznej słodkiej bakaliowej zupy, którą przygotowano specjalnie dla dzieci, czyli mnie i mojej siostry Elżbiety, zwanej Netą. Dlaczego tak dobrze zapamiętałam ten śmieszny fakt? Byliśmy dość rygorystycznie wychowywani i mieliśmy wpojona zasadę nie pozostawiania resztek na talerzu, a tej zupy nie byłam w stanie przełknąć. Nie było do kogo udać się po pomoc przy tym cudownie nakrytym stole z godnym starszym państwem. Wybawił mnie Peszko, stary służący łańcucki który zabrał mój talerz mówiąc głośno „widzę, że panna hrabianka już skończyła”. Jakąż poczułam ulgę, waga mojego problemu była na miarę moich pięciu lat wcale niemała. Powiedzenie było żartobliwe, nie tytułowano nas, a Peszko czasem dla zabawy wypominał mi mój „gust” do słodkich zup mlecznych i to z rodzynkami.

Ten pierwszy rok okupacji w Łańcucie, w każdym razie jego pierwsza połowa upłynęła spokojnie. Niemcy zarekwirowali gościnne pokoje mieszczące się nad oranżerią i w tej części utworzyli swoją enklawę, z którą nie było kontaktów. Jeśli czegoś potrzebowali, meldowali się na rozmowę z właścicielem. Przy moście fosy stała budka wartownicza, czy była taka druga przy drugim wejściu od szosy na Soninę, nie pamiętam. Tę od frontu pamiętam, bo bawiliśmy się z rodzeństwem w śniegu, często z Armą, psem stryja Alfreda i bojowym pekiń-



Zima 1940 roku, nasza trójka
z ukochanymi towarzyszami zabaw,
pekińczykiem Pinki i kokerem Armą



Z Mamą w maju 1940 roku w Łańcucie,
pierwsza komunia mojej siostry Nety

czykiem Pinki. Żołnierze niemieccy wołali na nas, robili zdjęcia, normalne odruchy nudzących się, pewnie ojców czy braci oderwanych od rodzin.

Mama odwiedziła nas co najmniej dwa lub trzy razy w tym czasie, w maju przyjechała na dłużej na pierwszą komunię mojej siostry Nety. W lecie 1940 roku po zakończeniu roku szkolnego, który przerabialiśmy domowo z Siostrą Janisławą z sąsiedniego klasztoru SS. Boromeuszek, Mama zabrała nas do majątku Rodziców w Suchowoli koło Radzyna Podlaskiego.

Moje wspomnienia z pobytu w tych dwóch siedzibach dotyczą zasadniczo przeżyć okresu wojennego, niemniej jednak atmosfera, tradycje, a zwłaszcza ludzie je zamieszkujący odcisnęli piętno nie tylko na mojej

pamięci. Zamek łańcucki, dzięki temu, że nie uległ zagładzie i istnieje jako muzeum i pomnik polskiej kultury jest znany, choć pięćdziesiąt lat komentarzy o jego mieszkańcach zniekształciło ich obraz. Milanów, siedziba Czetwertyńskich na Podlasiu, jest mało znany, we dworze mieści się dziś szkoła rolnicza, ale tradycje i działalność jego mieszkańców, zwłaszcza dziada Seweryna Czetwertyńskiego z pobliskiej Suchowoli jest tam znana i pielęgnowana do dziś. Pewne tradycje i zwyczaje były inne w Łąncucie i Suchowoli. Ta uwaga nie ma na celu porównań czy ocen, po prostu były różne, jak różni są ludzie. Potoccy mający wielowiekowe tradycje piastowania wysokich urzędów działali energicznie, z rozmachem, ulegając przy tym modom, a nawet pewnym snobizmom. Czetwertyńscy z ich starym rodowodem sięgającym dawnych ziem ruskich Rzeczypospolitej Trojga Narodów, prawosławni do początku XIX wieku, byli bardziej powściągliwi w działaniu, pielęgnując równocześnie zasady współzycia społecznego i przywiązanie do dawnych tradycji. Pamiętam, że w Suchowoli odbywała się wspólna modlitwa wieczorna. Ołtarzyk stał na górnym podejściu schodów wiodących z głównego holu na pierwsze piętro. Zbierała się tam cała rodzina, domownicy, a nawet służba i nie był to zwyczaj tylko okresu wojennego. W momencie katastrofy, gdy trzeba było zdać egzamin z postaw, te różnice okazały się zwyczajowe. Ten sam patriotyzm, ten sam duch zasadzający się na hasła Bóg, Honor, Ojczyzna, dodałabym jeszcze rodzina rozumiana jako solidarność z potrzebującymi i zagrożonymi, stanowił siłą sprawczą tak jednych, jak drugich.



Suchowola, dwór spalony po wojnie



Dwór w Suchowoli wybudowany przez Seweryna Czetwertyńskiego wg jego projektu, koniec XIX wieku

Dom suchowolski pełen był krewnych, uciekinierów z ziem wschodnich. W okolicy Niemcy rozmieścili różnych przesiedleńców. W najbliższą okolicę Suchowoli

przysłano ludzi z żywieckiego. Dziś by się powiedziało, czystka etniczna pod przyszłą Rzeszę. Ci ludzie nie zawsze mieli z czego żyć. Trzeba było dla nich walczyć o podstawowe produkty przez RGO (Rada Główna Opiekuńcza). Nasza Mama niezwykle zaangażowała się w tę akcję. Władziała biegle niemieckim, jak zresztą całe jej rodzeństwo wychowane przez ukochaną Fräulein. Była to Niemka z okolic Heidelbergu — w czasie okupacji już staruszka. Przyjechała do Suchowoli mając lat dwadzieścia, aby pomóc w wychowaniu dzieci naszej babce, która wówczas miała lat dziewiętnaście. W okolicy, dla ułatwienia wymowy nazywano ją Florią, w rzeczywistości nazywała się Carla Knackstedt. Gdy jej dorośli już wychowankowie wyfrunęli z domu, zajęła się katechizacją Suchowoli i jej okolic — jeździła konikiem, dwukółką. Jej zły akcent nikomu nie przeszkadza-



Fräulein w Suchowoli w około 1939 roku



Neta i Helena Potockie z dziećmi suchowolskimi
w procesji z liliami w 1941 roku

dział, bardzo ją lubiano, więcej — ceniono. W Suchowoli zajmowała się organizacją nabożeństw i czuwała nad różnymi kółkami modlitewnymi, pod jej nadzorem sypałyśmy kwiatki i nosiły lilie w procesjach.

Coraz większe restrykcje odczuwaliśmy wszyscy, jedzenie było więcej niż skromne, a cukier kostkowy wydzielany. Pamiętam, że przed Mikołajem, nasza starsza siostra Maryńcia zbierała od nas część racji, pewnie jedną kostkę na dwie dostawane, żeby zrobić nam niespodziankę cukierkową. Niezwykle umiejętnie przecinano kostkę na czworo, a następnie trzymano w różowym miętowym proszku do zębów i jeszcze czymś żółtym dla uzyskania zamierzonego cukierkowego efektu. O ile dobrze pamiętam, któryś ze starszych chłopców dobrał się do tych cukierków przed Świątami i wyniła

z tego burza. W domu było tak dużo dzieci w różnym wieku, że wrażeń i niesłychanych przeżyć nigdy nie brakowało. Ci sami nieznośni starsi bracia potrafili zorganizować naszą swoistą mini partyzantkę. Pamiętam, jak my maluchy siedzieliśmy w olbrzymim napięciu na drzewach, ukryci w gałęziach świerków, rosnących wokół kortu tenisowego. Nie wolno nam było pisnąć, podczas gdy nasz starszy brat Roman z którymś z kuzynów wyjmował szczeble z nieco spróchniałych schodów wiodących na płaski dach pawilonu, gdzie opalali się niemieccy żołnierze. Wszystko po to, by doczekać chwili, kiedy rozebrani będą musieli skakać w pokrzywy gęsto rosnące pod schodami. W przeludnionym dworze nie było rekwizycji, ale jakieś oficyny niemieccy żołnierze musieli zajmować, bo widywało się ich w parku i okolicy, a Suchowola była oddalona od głównych traktów i kolei.

Dzieci, choć nie wtajemniczone, wyczuwały atmosferę oporu i podziemnego działania. Wszyscy dorosli w nim uczestniczyli, trudno wszystkich wymienić. W AK działała najstarsza siostra mamy, Marijózia Grocholska, mąż drugiej siostry Barbary, Remigiusz Grocholski był dowódcą sławnego „Wachlarza”, wydzielonej jednostki dywersyjnej AK. Właściwie cała młodzież z okolicznych dworów i duża część młodzieży wiejskiej była zaangażowana w podziemię. Represje, jakie nadeszły, uderzyły w „głowę”. W kwietniu 1941 roku zaarrestowano i wywieziono do Oświęcimia 22 osoby. Naszego dziadka, sześćdziesięcioośmioletniego Seweryna Czetwertyńskiego, przedwojennego wicemarszałka Sejmu i działacza ludowego, jego brata Ludwika,

uratowanego z rodziną z wywózki na wschód, syna te-
goż Stanisława oraz zarządcę pana Stefana Gromnic-
kiego i 18 przedstawicieli miejscowej ludności. Wielu
z nich było działaczami ludowymi, współdziałającymi
z dziadkiem Sewerynem w różnych inicjatywach, miej-
scowych i na szerszą skalę — jak widać tę listę ktoś
umiejętnie przygotował. Bezpośrednim pretekstem był
przyjazd pary nauczycieli przybyłych z Lubartowa, pewnie
dla organizacji nauczania. Nauczycieli rozstrzelano na
miejscu, nosili nazwisko Stolzman, niemieckie nazwisko,
to zawsze Niemców drażniło. Jest to nazwisko, które
zna-łażłam na listach polskiej Wielkiej Emigracji końca
wieku. Naszej ukochanej Fräulein też się dostało. Kazano
jej natychmiast wyjechać do Niemiec. Z odpowiednim
wymyśleniem wypomniano jej służbę w Polsce — tę wspa-
niałą służbę, która była przede wszystkim służbą Bogu,
bo na pewno tak to rozumiała ta żarliwa katoliczka.

Problemem była nauka, w domu nadal przebywało
sporo dzieci i młodzieży w różnym wieku. Jakieś lekcje
odbywały się, choć bardzo nieregularnie. Pamiętam
pannę Sabinę, która nie umiała nas niczego nauczyć,
później panią Zofię. Najlepiej zapamiętałam lekcje fran-
cuskiego. Właściwie było to głośne czytanie z kome-
ntarzami ilustrowanej książki pt. *Histoires de Becassine* —
książki pisanej i ilustrowanej na wzór dzisiejszych ko-
miksów. W tym łatwym układzie bez trudności rozu-
miałam zabawne perypetie bohaterki i na te lekcje nie
trzeba mnie było zaganiać, byłam pierwsza na poste-
runku. Lekcje odbywały się w skrzydle dworu zajmowa-
nym przez uchodźczych Czwertyńskich z Zołódka.
Najstarsi z licznych wnuków wuja Ludwika, brata dzia-

da Seweryna, byli w wieku moim i mojej siostry Nety. Zapamiętałam drobną ciemną ich opiekunkę, która nosiła zupełnie nie francuskie imię Olga.



Mama i nasza piątka w Suchowoli w 1941 roku



Seweryn i Ludwik Czetwertyńscy z żonami, wnukami i rodziną.
Ewa Gromnicka z synem Jasiem, Suchowola 1940 rok

W Suchowoli pozostaliśmy jeszcze rok, smutny i przygnębiający rok. W Oświęcimiu pozostali na zawsze wuj Ludwik, pan Gromnicki oraz większość miejscowych chłopów. Ciotka Ewa Czetwertyńska, synowa Ludwika zdołała po paru miesiącach wyrwać z obozu męża Stanisława oraz dziadka Seweryna warunkowo do więzienia na zamku w Lublinie. Ewa Czetwertyńska z domu Boukshevden — z pomorskiej ziemiańskiej rodziny, wspaniała żona i matka dziewięciorga dzieci, wielka polska patriotka.

Od czasu tych smutnych wydarzeń stało się jasne, że Suchowolę będziemy musieli opuścić. Suchowola była średniej wielkości majątkiem o dobrych ziemiach, doskonale zagospodarowanym. Z nowym, bo przez Dziadka zbudowanym, dworem oraz parkiem, który zdążył

się już zestarzeć na tyle, że tworzył piękne drzewostany przy ładnym założeniu. Był to łakomy kąsek do zawładnięcia. Zjawił się Niemiec tzw. treuhänder i przejął majątek, nie pozostawiając go kobietom — to gniazdo trzeba było rozpedzić. Wszyscy domowi i uciekinierzy musieli szukać nowych osiedleń. Wiedzieliśmy, że Ojciec jest w Rumunii i wrócić nie może — zresztą jego przyjazd, nawet gdyby się przedarł przez granicę, niczego by nie rozwiązał — wręcz przeciwnie. Sytuacja w sąsiednich majątkach nie była lepsza — szwagier Dziadków, Andrzej Żółtowski z sąsiedniego Milanowa wywieziony do Oświęcimia, skąd nie wrócił, Zamojski z Kozłówki aresztowany i wypuszczony, ale w jakim stanie... Jego żona nadzwyczaj dzielnie stawiała czoła sytuacji, przejmując sprawy majątku, uciekinierów i tajnego nauczania, jakie się tam odbywało. Był tam i nasz brat, religię wykladał dojeżdżający z Lublina późniejszy ks. prymas Wyszyński.

Ta zagęszczająca się atmosfera i straszliwe akty barbarzyńskiego terroru, jak wymordowanie przez Niemców całej rodziny Horodyńskich w niedalekim Zbydniowie, niedwuznacznie sugerowały, że po profesorach i działaczach różnych szczebli administracji, przychodzi kolej na ziemian. Naturalnie ich eksterminacja szła w parze z ich zaangażowaniem w opozycję i ich autorytetem w okolicy. Alfred Potocki z Łańcuta był aresztowany w 1941 roku. Przewieziony do Krakowa do więzienia Montelupich, przesiedział tam parę tygodni. Przypuszczam, że wiele ludzi w Łańcucie modliło się o jego uwolnienie. Czekano podobno na decyzję Berlina co do jego dalszego losu. Czy pomogła mu fama koligacji z dworem Hohenzollernów — widocznie.

Jeśli wspominam tragedię zbydniowską, to nie tylko dlatego, że pan Zbigniew Horodyński był przyjacielem naszego Ojca i współtowarzyszem w wojnie z 1920 roku, ale również dlatego, że otarliśmy się o nią i przeżyli bardzo. Czternastoletnia Hania Horodyńska była koleżanką klasową naszej starszej siostry z tajnych kompletów nauczania prowadzonych przez SS. Niepokalanki w Jarosławiu. Od września 1942 roku umieszczono tam Maryńcię i dziewczynki bardzo się zaprzyjaźniły. Gdy pan Horodyński przyjechał po córkę do Jarosławia, by zabrać ją na Boże Narodzenie do domu, Hania zaprosiła naszą siostrę i poprosiła o zabranie ich obu do Zbydniowa. Nie było jak zawiadomić naszej Mamy, a konie z Łańcuta już czekały na Maryńcię i brata Romana, którego pan Horodyński dowiózł grzecznościowo do Jarosławia, zabierając go po drodze z Małachowa od Druckich–Lubeckich, gdzie zorganizowane było nauczanie dla chłopców. W parę dni później państwo Horodyńscy, ich synowie i czternastoletnia córka Hania zostali zamordowani przez Niemców kwaterujących w oficynie dworu zbydniowskiego, ofiar było więcej. 19 grudnia 1942 roku pan Zbigniew napisał pogodny list z życzeniami do naszej Mamy, opisujący perypetie jazdy do Jarosławia z naszym bratem Romanem psującą się ciężaróweczką na holzgaz. Był to pewnie jego ostatni list.

W 1942 roku znaleźliśmy się znowu w sytuacji uciekinierów bez domu, ale chwała Bogu nie bez rodziny. Nasza Matka pojechała do Alfreda. W Łańcucie stryj wynajął zgodnie z prośbą naszej Matki dom położony na przedmieściu, dość daleko od centrum tego niedu-

złego, ale ruchliwego miasteczka. Taki wybór był zgodny z Mamy dotychczasowymi doświadczeniami; ponadto, mając dziewięcioro domowników, Mama chciała być całkowicie autonomiczna, to ułatwiało prowadzenie domu i dzieci. Piszę to wobec zasłyszanych uwag o wielkim domu, w którym nie znalazło się miejsce dla rodziny. Zamek był w większej części nieopalany i dla naszych potrzeb niefunkcjonalny, w części mieszkalnej np. pokoje nad oranżerią zarekwirowane były przez Niemców, ale to nie była zasadnicza przyczyna. Zasadniczą była wola naszej Matki i jej zdolność przewidywania. Ta córka przedwojennego polityka, któremu przez pewien czas sekretarzowała, była realistką, miała wyostrome sądy i niewiele złudzeń co do dalszych losów kraju, już wtedy w 1942 roku. Przeżyła dwie wielkie tragedie utraty bliskich i opuszczenia własnych siedzib nie w wyniku ich zniszczenia, ale wyrafinowanej nagonki.

Zanim opiszę nasz kolejny blisko czteroletni etap okupacyjnych i pookupacyjnych perypetii w Łąncucie, powrócę jeszcze do Suchowoli. Jak napisałam, opuszczanie dworu przez bardzo licznych mieszkańców odbywało się etapami. W lecie 1942 roku z domowników pozostało pięć osób. Nasza Babka Zofia Czetwertyńska, jej najmłodsza córka Krysią, ja z siostrą Netą oraz nasza opiekunka pani Zofia. Nigdy nie spytałam naszej Matki o powód pozostawienia nas w Suchowoli. Nie wydaje mi się, żeby jedynym były trudności organizacyjne naszej kolejnej przeprowadzki. Jaka straszliwa, tym bardziej ze hałaśliwa pustka musiała ogarnąć Bunię Czetwertyńską, po wyjeździe rozlicznej rodziny. Zostawiając nas, Mama nie zerwała nagle ostatniej nici.

Dwór suchowolski był pełen Niemców, stanowił dla nich etap w drodze czy odpoczynek po trudach frontu wschodniego. Treuhänder bardzo się panoszył i grał rolę właściciela w sposób, który nawet dla nas, dziewczynek mających dziesiąty i dziewiąty rok życia, był widoczny i denerwujący. Ten okres końcowego pobytu w dworze dziadków trwał dwa, może trzy tygodnie, pamiętam każdą niemal chwilę, tak byłyśmy wytrącone, napięte i pełne buntu. Popisy Niemców końmi, bryczkami czy powozami ocenialiśmy, popatrując z okna na parterze z dobrym widokiem na wjazd, komentarzami: „gdzie oni to znowu ukradli, to nie nasze konie lub nie nasz powóz”. Nawet uprzęże były nam znane, więc ocenialiśmy każdorazowy nabytek nowych władców jako złodziejskie trofeum. Zarządzający Niemiec miał charakterystyczną urodę. Stosunkowo młody, średniego wzrostu, dobrze się prezentujący w oficerskich butach i bryczesach, miał gładkie ulizane ciemne włosy i białą cerę z szeregiem czarnych pieprzy, miał je na pewno po jednej stronie twarzy.

Byłyśmy z Netą głodne i dość bezpańskie, uciekałyśmy naszej opiekunce. Nasza Babka, na górze w tym samym skrzydle domu, w ogóle nie wychodziła. Działa w pełni zdając sobie sprawę, co przeżywała ta przeszło sześćdziesięcioletnia kobieta. Mąż w więzieniu, dwaj synowie w oflagu, córka w więzieniu, a cała reszta licznej rodziny rozsypana i w wiecznym niebezpieczeństwie. A w końcu znalazła się we własnym domu w sytuacji „dobrowolnego” więźnia, trudno jej było wychodzić i spotykać się z Niemcami. Pewnie pakowała i składała rzeczy i pamiątki przed opuszczeniem tego swo-

jego gniazda na zawsze. Chodziłyśmy rano mówić Buni dzień dobry i wieczorem na pacierz — Bunia była jakaś nieobecna.

W dużym domu, gdzie kuchnie są w suterrenach, gdy przestają funkcjonować lub funkcjonują dla kogoś innego, nie ma co jeść. Pierwszy raz w życiu głód stał się motorem wielu naszych poczynań. W ławce kolatorskiej w kościele znajdowałyśmy chleb, ser a nawet słoik miodu. Raz poszłyśmy na obiad do położonej niedaleko Zawoinki, zaproszone przez zarządzających. Była to założona przez dziadka Seweryna fabryka wódek, podobno bardzo dobrych, bo przeznaczonych na potrzeby Hotelu Europejskiego w Warszawie, który był własnością naszych dziadków Zofii z Przeździeckich i Seweryna Czetwertyńskich. Po drodze spotkałyśmy, a szła z nami nasza opiekunka pani Zofia, wracającego z tejże Zawoinki treuhändera. Rozpoznał nas i po niemiecku zbeształ ostro naszą niešťczęsną, rozumiejącą ten język Zofię, zabraniając dalszej drogi. Szedł z psem, i w czasie swojej przemowy jedną dłonią w rękawicze trzymał psa, dużego doga, a drugą szpicrutę i tą szpicrutą jako końcowym argumentem dotknął twarzy naszej opiekunki, nie uderzył jej, ale dotknął — musiało to być dla niej niezwykle upokarzające.

Pamiętam rozterki duchowe, głównie mojej starszej o rok siostry, ponieważ nie zmartwił nas ten incydent, a właściwie powinien. Zofia miała pretensje nie tylko o nasze samodzielne wypady, ale o całą sytuację, w jakiej się znalazła, włączając w te pretensje naszą Matkę. Dzieci mają swoją filozofię, Zofia miała po prostu za dużo pretensji. Nie współczułyśmy jej, natomiast za-

częłyśmy współczuć psu, owemu dogowi, tresowanemu głodem. Jedzenie dostawał w nagrodę za bezwzględny posłuch i tylko od swojego pana. Przy naszym braku jedzenia, dokarmianie psa było trudne. Pies zwykle siedział zamknięty z tyłu domu przy drewnitni, gdzie były dwa boksy z drucianej siatki, w jednym przetrzymywano kurczaki przeznaczone na stół. Widok przechadzających się kurczaków, absolutnie nieosiągalnych, pobudzał nieszczęśnika do ślinotoków. Wzięcie kurczaka nie było trudne, ta klatka zamknięta była tylko na skobel, natomiast dostarczenie go górą psu, dla nas, małych dziewczynek, było już wyczynem, a jeszcze trzeba to było zrobić prędko i nie zwrócić uwagi na ten cały incydent jazgotem ptaka. Nie miałyśmy współczucia dla kurczaków, one i tak były do zjedzenia, natomiast uwielbiałyśmy psy i konie. Pies zjadał kurczaka do ostatniej kosteczki, a pierze roznosił wiatr.

W bardzo dobrze utrzymanym ogrodzie warzywno-owocowym naszej Babki — pamiętam, jak sama robiła na dworze konfitury w wielkim miedzianym rondlu — kazano pracować sprowadzonym z sąsiedniego Parczewa Żydom. Był lipcowy upał, pamiętam straszliwie jęczącego przy ogrodzeniu starego człowieka. Kiedy raz, głodne, chciałyśmy się wsunąć do ogrodu sobie tylko znanym przejściem pod jakimś żywopłotem po maliny czy porzeczkę, wycelował w nas niemiecki żołnierz w bojowej postawie. Pewnie nic by nam złego nie zrobił, ale przyłożone wtedy do naszej sytuacji i lat, to było mocne przeżycie. Jak w ciągu paru tygodni z raję można zrobić piekło. Kiedy patrzyłam i słuchałam grającej przed domem pewnie niezłej orkiestry, podobno

Austriaków, byli w czarnych mundurach, ogarnął mnie straszliwy sprzeciw: **TO BYŁO MIEJSCE NASZEJ BABKI**, gdzie jeszcze tak niedawno zbierała nas wokół siebie na jakieś kolejne dziecinne święto, jakąś radość. Moja rozpaczliwa bezsilność zmieniła się w nienawiść, pamiętam to dobrze — tak silne było moje rozdarcie.

Moja nieustraszona siostra miała wówczas nade mną przewagę nie tylko jednego roku i trzech miesięcy, ale cech których mi wówczas brakowało — nie bała się psów, koni i ogólnie zwierząt, a ponadto świetnie gwizdała, w tym wieku są to niebywałe zalety. Pod koniec naszej kohabitacji z Niemcami, do naszego truhändera przyjechał wspaniałą bryczką, zaprzężoną w bardzo dobre jabłkowite konie, inny truhänder. Nasze komentarze były oczywiste. Po popisach końskich przyprowadzono psa, dawno nie wypuszczanego — pies oszalał, zaczął zataczać coraz większe kręgi, zupełnie nie reagując na coraz głośniejsze komendy swojego pana. Wtedy moja siostra gwizdnęła, przypuszczam, że zrobiła to bezwiednie. Z kolejnego kręgu, gdzieś już z dużego oddalenia pies zawrócił, podbiegł prosto pod okno, gdzie byliśmy przykucnięte i jak to pies zaczął się bardzo przyjaźnie łaścić do parapetu. Obie z Netą zmarłyśmy. Niemcy odeszli do wnętrza domu, nie był to w końcu udany popis tresury. Wieczorem pani Zofia wiedziała już wszystko, truhänder się o nas dopytywał, mówiąc, że warto by z nas zrobić małe Niemki.

Bardzo niedługo potem przyjechała po nas nasza Mama, urządziła już rodzinę w Łańcucie i nasz dziwny pobyt dobiegł końca. Mama nie manifestowała się we dworze. Noc spędziła z Matką. Rano, niby na pierwszą



Neta i Helena Potockie w drodze do Łańcuta w lecie 1942 roku.
Etap w Rozwadowie u Lubomirskich

mszę, wyszliśmy z domu. Po drodze do kościoła były szyny, a na nich zabawny wagonik, szeroki, otwarty jak wóz. Służył do przewozu towarów ze stacji, drzewa z lasu, a jak trzeba to i ludzi. Ciągnął go po szynach idący z boku koń. Tym wagonikiem wyjechałyśmy na zawsze z Suchowoli.

Łańcut, to nieprzerwanie najdłuższy ostatni etap mojego dzieciństwa w „domu”, normalnym zorganizowanym domu z chodzeniem do szkoły, koleżankami i całym balastem wspomnień, do których się wraca, bo mają różowy kolor. Zwłaszcza pierwsze dwa lata, kiedy żyliśmy jeszcze w oparciu o zamek i jego mieszkańców. Pomimo wieku Elżbieta Potocka, pani na Łańcutcie, była osobą pogodną, wesołą, organizującą wokół siebie ludzi

z myślą o nich, równocześnie była bardzo wymagająca. W Łańcucie nawet jeśli pewne zwyczaje czy stanowiska były staroświeckie, wszystko do ostatniej chwili jego istnienia szło jak w maszynierii zegara. Po naszych trudnych przeżyciach spokój i zorganizowanie Łańcuta były błogosławione.

Istniał i inny nurt bardziej niespokojny, mający swoje oparcie również i w zamku — niejedyn zagroźony dostawał fikcyjne zatrudnienie w ordynacji. Ukryte w zamku radio służyło nie tylko jego mieszkańcom. Nadciągająca powoli fala uciekinierów ze wschodu, głównie Lwowa, też wpływała na podminowanie nastrojów, ale to, co powoli narastało, na razie przynajmniej nie dotyczyło nas dzieci.

Zamieszkaliśmy w domu państwa Rutkowskich, przemyślnych ludzi. On urzędnik magistracki, stary samorządowiec, ona nauczycielka pani Teofila. Ludzie bezdzietni, ale bardzo ciepła i serdeczna para. Przeżyliśmy z nimi ciekawe lata w dobrych stosunkach i wspólnocie w trudnych chwilach. Zamek i jego mieszkańcy byli dla nas cudowną niedzielą odskocznią. Po Mszy św. w kościele parafialnym spędzaliśmy niedzielę i różne święta wspólnie. Mama i nasza najstarsza siostra Maryńcia przemieszkiwały nieraz dłuższe okresy w zamku, brat Roman, jeździł stale, gdy nie miał szkoły, ze stryjem, głównie konno. Nam młodszym urządzano wycieczki, kuligi, odgrywaliśmy jasełka. Jeśli chodzi o mnie to zdarzyło mi się raz czy drugi być ukaraną „niepójściem niedzielnym”, była to surowa kara kończąca się zwykle wysłaniem na przedmieście koni. Mama ugięła się wobec nalegań starszych pań, babki



Alfred Potocki z Matką i Mama z naszą piątką,
jesienna niedziela 1942 roku

Heleny i jej siostry Elżbiety, którą nazywaliśmy ciocią Betką. Zapamiętałam te incydenty, bo kończyły się wspaniałą zabawą w Kopciuszka. Miałam wtedy dziewięć–dziesięć lat i uwielbiałam bajki. Jakie dziecko w tamtych czasach miało okazję jechać samej, karetą z woźnicą w liberii, końmi hacknejami, po wiedeńskiej szkole specjalnego chodu. Takiej okazji do zabawy w Kopciuszka nie przepuściłoby żadne dziecko.

Podobnie jak w 1940 roku, pokoje nad oranżerią były zarekwirowane przez Niemców, ale się ich nie widywało. Nie było też irytujących budek wartowniczych. Górne piętra zamku były nie opalane i nie używane, jedynie jadalnia od strony ogrodu w lecie, gdy byli goście. Całe życie trojga mieszkańców zamku koncentrowało się na parterze plus naturalnie mieszkania

służbowe, dla różnych domowników. Mieszkał tam np. marszałek dworu, pan Szaszkiewicz, czy główny plenipotent pan Kosielski, choć być może marszałka pamiętam jeszcze z 1940 roku, później go już nie było.



Helena Potocka z wnukami
Marynią i Romanem, 1942 rok



Mama i nasza piątka, Maryńcia, Neta, Helena,
Roman i Marek, Łańcut 1942 rok

W pawilonie pod biblioteką miał swoje pokoje stryj Alfred, nie opalane nawet w zimie, z bezpośrednim dojściem do tzw. salki, która służyła jako salon i jadalnia, była cudownie ciepła. Nawet na liczniejsze przyjęcia jak wielkanocne Świątce, gdy przybywali wszyscy księża z parafii i ustawiano więcej stołów, a ksiądz Ko-

ziewa wyszukiwał stołu dzieci, bo zawsze siadał z nami, ograniczano się do tej jedynej recepcyjnej sali na parterze. Obok była kaplica używana jedynie z okazji rocznic, czy rodzinnych świąt. W 1940 roku odbyła się w niej pierwsza komunia Nety, w 1943 moja, uroczyste przy pięknej majowej pogodzie, z orkiestrą zamkową grającą pod oknem. Nie doceniłam tego wyróż-



Anna Potocka z dziećmi, Romanem, Netą,
Heleną i Markiem, 1943 rok



Rafałowie Lubomirscy z Przeworska, Betka Potocka, dzieci z Dąbrówki pod Łańcutem, z tyłu: Roman i Neta Potoccy

nienia, miałam żal, że rozdzielono mnie z klasą. Wspólna uroczystość w kościele parafialnym, którą przeżyłam co prawda w białej sukni, ale na osobno ustawionym kłęczniku, bo byłam już po własnej uroczystości, wydała mi się dyskryminacją. Dziś rozumiem, że organizowanie i przeżywanie tradycyjnych Świąt właśnie w kaplicy zamkowej, było dla tych starych i w gruncie rzeczy osamotnionych przez wojnę od wielu bliskich ludzi, rodzinnym przeżyciem, dla mnie dzisiaj też.

Gdy czytałam po wojnie publikacje o towarzyskim życiu w Łańcutie, o podejmowaniu oficerów, generałów, a nawet balach organizowanych w zamku, z początku mnie one śmieszyły, zastanawiałam się, kto miał wytańcowywać — ponad osiemdziesięcioletnia ciocia Betka, czy moja kulawa Babka, czy też nieszczęsny,

nieśmiały Alfred zwany Frusiem. Wydawało mi się to po prostu tak oczywistą bzdurą, nie tylko z uwagi na wiek i okoliczności, ale i postawę tych ludzi, że nie doceniłam siły propagandy. Po maturze, pracując, czy później na studiach, zdarzało mi się usłyszeć te brednie powtarzane na serio i wówczas przestało mnie to śmieszyć.

Zapamiętałam jedną tylko opowieść o towarzyskim przyjęciu w Łańcucie w lecie 1941 roku, dwóch Niemców, dwóch młodych ludzi, z których jeden był lotnikiem. Otóż starsze panie dostały listowne zapytanie z Berlina od przedstawicieli dwóch znamienitych niemieckich rodzin, zdaje mi się, że jedna z nich nosiła nazwisko Turn und Taxis, drugiej nie pamiętam, o przyjęcie ich wnuków, którzy będą przejeżdżać przez Polskę w drodze na wschód. Dziadowie byli towarzyszami młodości Radziwiłłowien z Berlina. Były wahania, w końcu panie się zgodziły. Wizyta odbyła się bardzo oficjalnie i zgodnie z najwyższą etykietą, młodzi ludzie okazali się sympatyczni i bardzo dobrze wychowani. Wyszło na jaw, że przyjechali nie bez powodu, słyszeli cuda o Antoninach od swoich dziadów i jadąc w tamte okolice zaproponowali jakiś rodzaj sprawozdania, wiedząc, że od straty Antonin czyli lat 1918–1920, nastąpiło zupełne odcięcie od tamtych stron. Panie propozycji nie odmówiły, bo nie było powodu odmawiać, choć ogólnikowo stan Antonin był im znany. Nie wiem, w ile miesięcy później, młodzi ludzie, będąc w powrotnej drodze zapytali, czy mogą być przyjęci, tym razem starsze panie odmówiły, zbyt wiele bardzo złych i coraz gorszych rzeczy zaczęło się dziać. Młodzi oficerowie pewnie to zrozumieli, nadesłali list, a w liście zdjęcie

Antonin z lotu ptaka, widocznie wykonane przez lotnika. Pamiętam to zdjęcie, precyzyjne, z widocznymi stajnikami i bramą, która pozostała.



Dom państwa Rutkowskich w Łańcucie, w którym mieszkaliśmy od 1942 do 1946 roku

Opisując Łańcut, muszę wymienić naszych najbliższych sąsiadów z przedmieścia, z którymi przeżywalismy wiele codziennych dni. Z jednej strony zamieszkiwanego przez nas domu stał klasztor SS. Służebniczki. Siostry prowadziły o ile dobrze pamiętam przedszkole, a może pierwsze klasy szkoły powszechnej. Z drugiej była cudowna chałupinka babci Biczki. Babcia i domek były jak ze starej bajki, maluteńki, bielony, kryty strzechą, a babcia zapraszała mnie i Netę na placki ziemniaczane, najlepsze na świecie. Ta chatynka, ku mojej radości stała jeszcze do połowy lat dziewięćdzie-

siątych, tak że mogłam ją pokazać moim dzieciom. Naprzeciwko był dom państwa Olszewskich, których córka Kazia chodziła z Netą do jednej klasy, a obok był dom państwa Nosków, dom bardzo zaprzyjaźniony. Na zapleczu tego domu były autentyczne żarna, mielenie ziaren zboża wynikało z potrzeby, o mąkę było trudno. Pani Noskowa była siostrą pani Teofili naszej gospodyni, a jej mąż jednym z osiadłych w Łańcucie ludzi z Antonin. Ich dzieci działały w AK. Mama chciała się przyłączyć, zięć pan Stefan Gdula stanowczo to Mamie odradził, tak z uwagi na rodzinę, jak zbyt charakterystyczną postać. Po latach powiedział mi, że to nie była jego decyzja, tylko dowództwa Okręgu, dowódcą Okręgu był Andrzej Sapięha z Zurawna.

Zamkowe życie toczyło się utartym czy odwiecznym zwyczajem. Nieliczne konie w stajniach przyzamko-



Powóz przed zamkiem łańcuckim

wych chodziły pod wierzch lub w powozach — konie nie mogą stać. Nasza Babka codziennie poza niedzielą, kiedy się jeździło do kościoła, objeżdżała park małym tillbury, zgrabnym jednokonnym powozikiem, do którego się można było dosiąść, jeżeli akurat nie było się w szkole. W tym domu — od służby po chłopców stajennych, ogrodników czy ich pomocników — każdy robił to, co do niego należało. Ogród i park były świetnie utrzymane, nie mówiąc o zamku. Czy okupacja tam nie dotarła? Naturalnie, że dotarła — istniał podziemny nurt dla wtajemniczonych, ale ogólnie było to spokojne miejsce. Starsi państwo zamkowi robili co mogli w ramach pomocy, dokarmiania, zatrudniania ludzi dla uzyskania legalnych papierów oraz comiesięcznej wysyłki kilkudziesięciu paczek do oflagów. Ta akcja była podyktowana obecnością w obozach wielu krewnych czy weteranów — przyjaciół jeszcze z wojny lat dwudziestych. Wpłynęła na nią również pamięć prowizorycznego obozu w tzw. angielskim parku. Niemcy przetrzymywali w nim żołnierzy polskich pod gołym niebem do końca grudnia 1939 roku przed selekcją: wypuścić, oflag czy jeszcze inny los? Mam przed oczyma ten przerażający widok, bo byliśmy tam z opłatkami na Boże Narodzenie 1939 roku. Zarówno akcja dokarmiania, jak i wszelkie inne pomoce ludziom dokonywane przez Ordynata i jego Matkę były utrudnione ubieżwłasnowolnieniem tych ludzi, jeśli chodzi o zarząd ordynacją. Dotychczasowi zarządzający zostali już w końcu 1939 roku zwolnieni na rzecz człowieka wyznaczonego przez Niemców. Alfred Potocki mógł tylko prosić o artykuły żywnościowe. Jak wszędzie, obowiązkowo

we kontyngenty szły do Rzeszy, a przede wszystkim dla armii. Mimo tych utrudnień bez przerwy funkcjonowała tzw. głodna kuchnia dla najbardziej potrzebujących, nie mówiąc o innych formach pomocy i osłaniania ludzi, bo było oczywiste, że z każdą sprawą szło się do Ordynata.

W Łąncucie chodziłyśmy z siostrą do szkoły powszechnej prowadzonej przez SS. Boromeuszki. Gimnazjum było zamknięte, dla starszych pozostawało tylko tajne nauczanie. Bardzo lubiłyśmy naszą szkołę, lubiłam poranne wędrówki z przedmieścia do szkoły, która mieściła się koło kościoła. Pamiętam wiele koleżanek, nauczycielek, a przede wszystkim księdza Kozięję. Do dziś mam w uszach jego miękki dobrotliwy ton głosu i bardzo okrągłą twarz, zawsze całkowicie zainteresowaną kolejnym rozmówcą czy potrzebującym. Nie gniewał się nigdy, a posłuch miał wielki. Był dla całej tej bardzo różnej i z różnych stron przybyłej młodzieży niebywałą ostoją i autorytetem. Przez mój pierwszy rok łąncuckiej szkoły, a może i połowę drugiego, kolegowałam z Ewą Stambułą, Żydówką, nie wiem — miejscową czy przyjezdną. Zauważyłam, że ton mowy księdza do niej był specjalnie pełen uwagi. Ewa była naszą celerką, myślałam wówczas, że to księdza ujmuje. Nie byłam zazdrosna, ale bardzo chciałam jej dorównać, uczyłam się dobrze, miałam jednak długo odczuwalne braki z moich chaotycznych pierwszych lat nauki. Dziś wiem, że ten specjalny ton księdza był wynikiem świadomości zagrożenia tego jeszcze dziecka i zdaje się, że przy pomocy księdza i parafii, Ewa z matką się uratowały i wyjechały później do Izraela.



Ksiądz Ignacy Kozieja, nasz katecheta, lata pięćdziesiąte



Ostatnia Msza św. księdza Kozieja, lipiec 1983 roku

Spośród koleżanek łańcuckich pamiętam różne egzotyczne piękności, które przyjeżdżały z polskich kresów, w miarę jak po Stalingradzie front ruszył na Zachód. Danusię Dubasówną, której uroda kojarzyła mi się z księżniczką Dżawacha, bohaterką książki, którą właśnie czytałam. Krysię Malinowską kolorową jak jabłuszko i małą bardzo bystrą Ormiankę, z którą chodziłyśmy na rytmikę do pani Marii Wiercińskiej i wiele innych zapamiętanych bardziej z twarzy niż nazwiska. Ale nasze przyjaźnie były miejscowe, niektóre do dziś utrzymywane. Zżyliśmy się z naszym przedmieściem. To przedmieście stało się miejscem naszych gromadnych zabaw od wspólnego pasienia krów, po jesienne śliwki i powidła smażone w wiejskich sadach, a w zimie sanki i Barani Staw z łyżwami na paski. W maju były to

majowe nabożeństwa, gdy cała hurma dzieci z przedmieścia biegła wspólnie do kościoła parafialnego lub do figury Matki Boskiej, która stała przed klasztorkiem koło naszego domu. Przedmieście wyzwalało z nas różne pomysły. Kiedy skończyły się kontakty ze stajniami i ogólnie końmi, które istniały zawsze, jak moja pamięć sięgała, musiałyśmy ten brak czymś wypełnić, było to już po „wyzwoleniu”. Wprosiłyśmy się do pasienia Różanej, krowy państwa Rutkowskich, w tamtych czasach była to krowa żywicielka. Po szkole goniliśmy nieszczęsne zwierzę na łąki raczej galopem. Zrezygnowano z naszych usług, krowa zaczęła tracić mleko. Zdejmowałyśmy drewniaki, daleko łatwiej było biegać



Ostatnie wspólne lato przed wyzwoleniem,
brat Roman już wyrósł z ubrań stryja

boso. Neta wbiła sobie solidny gwóźdź w stopę, przebiła ją na wylot. Pamiętam ten nasz powrót, kiedy ją wlokłam. Niebezpieczne były również różne zabawy ze zdobyczną „bronią” np. strzelanie z klucza, ale to było później.

Od momentu załamania się frontu wschodniego wiadomo było, że Niemcy przegrały wojnę, a wiadomości z Zachodu też przenikały. W zamku ukryte było radio, z którego korzystali nie tylko jego mieszkańcy. To, że Polska będzie wyzwalana od wschodu i nastąpi inna okupacja, też było dość oczywiste — tylko na jak długo? Po doświadczeniach lat 1917–1920 i 1939–1941 oraz świadomości szerzonej doktryny można było założyć, jakie będą skutki tego wyzwolania. Naturalnie to nie była świadomość dzieci, my byliśmy tylko świadkami zmian nastrojów i powolnych działań, które zaczęły następować po różnych dyskusjach toczonych przez starszych w szerszym lub węższym gronie. Sąsiedzi nieraz bywający w Łańcucie, Lubomirscy z Przeworska czy Sapielowie z Krasieczyna, już się różnili w opiniach. Lubomirscy optowali za wyjazdem, Sapielowie za przeczekaniem i zobaczymy... to nie jest 39 rok. Bardzo się liczone ze zdaniem naszej Matki, po jej przejściach i doświadczeniach oraz sądach bez złudzeń. Nasza Matka nie miała możliwości i nie chciała się ruszać. Nasze przedmieście uznała za pewien azyl, natomiast popierała wyjazd szwagra i jego matki, uważając że są w niebezpieczeństwie, i że nawet wiek matki Alfreda nie zabezpieczy jej przed najróżniejszymi mogącymi nastąpić przejściami. W tym gronie najbliższych oraz wśród oddanych domowników, nie było

nikogo, kto by miał jakiegokolwiek złudzenia co do losu zamku i olbrzymiego ryzyka, na jakie wystawieni byli jego właściciele. Wiadomo było, że nie tylko *bij germańca* było *mot du jour* wojującej Czerwonej Armii. Ten sam nastrój, ten sam niepokój udzielił się wielu mniejszym i większym siedzibom dworskim. W efekcie czego pakowano i wywożono rzeczy, meble, pamiątki, gdzie i jak kto mógł. Głównie do miast, do zaprzyjaźnionych czy spokrewnionych rodzin. Mieszkanie w mieście nie było tak łatwym łupem i symbolem głośzonego wyzysku. Mogłabym tu wymienić szereg rodzin szukających miejsc przechowań, od mieszkania znajomego młynarza czy krawcowej w Mielcu, po piwnice pałacu biskupiego w Krakowie. Niestety, wiele dworów ze środkowej czy bardziej północnej Polski wywoziło swoje rzeczy do Warszawy, gdzie spłonęły wraz z miastem.

Dla Alfreda i jego matki najczęściej uczęszczanym szlakiem była droga Łańcut — Wiedeń. Pociąg pociąg idący ze stolicy Austrii do stolicy Galicji — Lwowa, zatrzymywał się w Łańcucie. Wiedeń był stolicą bardziej znaną, i łatwiejszą w dojeździe, w każdym razie dla matki Alfreda, niż Warszawa. Przecież jej życie upłynęło w czasach CK. Obie siostry jej teścia, Alfreda Potockiego, namiestnika Galicji, wyszły za mąż za Austriaków. Józefina, żona hrabiego Dietrichstein, dyplomaty austrijskiego, była bezdzietna, ale Księstwo Lichtenstein stanowili bliskich kuzynów i te rodziny utrzymywały zawsze dobre i serdeczne stosunki. Po decyzji wywózki rzeczy rodzinnych, pamiątek, dzieł sztuki i archiwów nastąpił okres organizacyjny. Pierwszym punktem była zgoda rodziny Lichtenstein na

zdeponowanie rzeczy w ich wiedeńskim pałacu. W czasie okupacji Marina ks. v. Lichtenstein odwiedziła rodzinę w Łańcucie w 1941 roku, kto z przedstawicieli rodziny książęcej był w 1943 roku, kiedy nastąpiło uzgodnienie wysyłki rzeczy — nie pamiętam. Taka wizyta miała miejsce i w jej następstwie od jesieni rozpoczął się drugi etap działań, jakim był dobór rzeczy do wywiezienia, a następnie trzeci najtrudniejszy, jakim było pakowanie.

Nic tak nie niszczy rzeczy jak przeprowadzki. W cywilizowanych krajach istnieją wyspecjalizowane firmy, które podejmują się najbardziej karkołomnych przedsięwzięć. W Warszawie była znana firma pana Węgiełka, reklamująca się pewnością przewozu tak fortepianu, jak chińskiej filizanki. W wywożonych łańcuckich rzeczach były bibeloty, porcelana, szkło, do tego nie była to zwykła przeprowadzka. Nie mogło być mowy, by pakowanie nie było nadzorowane przez fachowców. Przybyli fachowcy byli najprawdopodobniej Austriakami, przysłanymi przez rodzinę z Wiednia. Byli niemieckojęzyczni i pod ich nadzorem i z ich udziałem służba pakowała wybrane obiekty w zamkowej oranżerii. Natomiast w przewozie gotowych pak na dworzec do podstawionych wagonów pomagali żołnierze niemieccy. Stacjonująca jednostka dała ciężarówki i ludzi. W tamtych czasach mogło to organizacyjnie tylko tak wyglądać, pozwolenia na wywóz nie trzeba było szukać w Berlinie, decydowały o tym władze administrujące w Generalnej Guberni. Pakowano rzeczy parę miesięcy, załadowanie do wagonów musiało też być fachowe, by umożliwić łatwe wyładowanie zważywszy bardzo różne gabaryty skrzyń. Właśnie z uwagi na różne i nieznane gabaryty nie należy liczyć łańcuckiej

wywózki na skrzynie czy paki, bo to niewiele mówi. Mój starszy brat Roman, który towarzyszył stryjowi konno w dojazdach na dworzec w czasach załadunku, a trwało to tygodniami — zapytany, czy uzmysławia sobie liczbę załadowanych wagonów, powiedział mi, że na pewno nie było ich więcej jak siedem — oszacowując raczej z zawyżeniem. W mojej pamięci pozostały dwie liczby cztery i dwa. Dlaczego właśnie takie? — bo zapamiętałam, że o takiej ilości się mówiło. Komentowano wiadomość nadeszłą z Wiednia, jeszcze przed wyjazdem Alfreda Potockiego z Łańcuta a już po wyjeździe jego matki i rzeczy, że „szczęśliwie tylko dwa z czterech wagonów uległo niewielkiemu uszkodzeniu w czasie bombardowania wiedeńskiego dworca. Rozprawiano o fakcie, że „wagony szczęśliwie dotarły”, że „stały jakiś czas nie pilnowane”, że „uszkodzeniu uległy tylko wersalskie szafy księżnej marszałkowej Lubomirskiej”. Były to dzieła francuskich ebenistów, zakupione przez twórczynię świetności łańcuckiego zamku w czasie powojennej koniunktury, czyli pod koniec XVIII wieku. Księżna marszałkowa wysłała zimą po zakupione obiekty podwozy na płozach dla ułatwienia transportu. Rewolucja francuska wyrzuciła szafy na ulicę, a te po 150 latach znalazły się w bombardowanym Wiedniu, w ucieczce przed inną rewolucją. Takie historie się zapamiętuje, bo działają na wyobraźnię.

Moja pomyłka może dotyczyć zestawienia tych liczb, nie dwa z czterech wagonów, ale np. dwa i cztery. Nieprawdopodobny, liczony na dziesiątki wagonów i całe pociągi transport rzeczy to trick propagandowy dla gawiedzi, który w zestawieniu z ogromem kubatury zamku był chwytny. Nad logiką spraw nikt się nie

zastanawia np. że większość sprzętów pozostała na miejscu, a przede wszystkim, że taki transport był w ogóle niemożliwy, tak z uwagi na nonsensowność, organizację, jak i możliwość przyjęcia rzeczy przez rodzinę w Wiedniu — to był jeden z punktów omawianych w 1943 roku, gdy księstwo Lichtenstein przybyli do Łańcuta.

* * *

Łańcut po wywózce rzeczy pozostał zamkiem urządzonym, bez bibelotów, bez wielu cennych obiektów, ale urządzonym. Pisze o tym nasza babka Helena, która pozostała na miejscu, do siostry Elżbiety: „meble i rzeczy z góry poprzenoszono i zupełnie nieźle to wygląda”. Naturalnie, dla ludzi znających wnętrza, brak cennych obiektów był widoczny, zwłaszcza obrazów. Wyjęty z sufitu portret Henryka Lubomirskiego jako amora, zresztą nie najlepsze dzieło Marii Cosway, który w oryginalnym ujęciu był otoczony wieńcem weneckich pejzażyków, *nota bene* nic nie wartych, ale dobrze wkomponowanych ilustracji, stał się symbolem zdrady i dowodem przestępstwa. Ileż lat wycieczki i gromady szkolnych dzieci zadzierając główki na tę wyrwę w suficie dostawało lekcję historii o zdradzie narodowej. Jak to łatwo można przerzucić ciężar odpowiedzialności!

Czy to wszystko dzisiaj ma znaczenie, czy warto wracać do tych spraw? Moim zdaniem warto, a nawet trzeba z trzech powodów. Pierwszy, to przekreślenie kłamstw i zdjęcie odium z osoby przyzwoitego człowieka i Polaka jakim był Alfred Potocki. Drugi, to

uczciwy rzut oka na ten przedziwny okres historii II wojny, gdzie już nie wiadomo było, kto wróg, kto przyjaciel, kiedy ludzie, konie, nie mówiąc o dobytku, runęli za przegraną armią w trwodze przed armią zwycięską. Jedyny, który trochę to opisał, choć pod nieco innym aspektem, to Józef Mackiewicz. I wreszcie trzeci, to ten, że według mojego rozeznania Alfred Potocki swoją decyzją i idącym za nią czynem uratował zamek łańcucki.

Zanim spróbuję udowodnić tę tezę, opowiem o pewnym, zdawałoby się, mało ważnym epizodzie z czasów jeszcze antonińskich, który rykoszetem powrócił do nas w czasach powojennych. Zagłada pewnego świata była nieunikniona i oczywista dla wielu świadków porwolutywnych wydarzeń.

Z początkiem lat pięćdziesiątych nasza rodzina dostała zaproszenie od pani Łosiowej, intendentki Katolickiego Uniwersytetu w Lublinie, do spędzenia paru dni w domu wypoczynkowym KUL-u we Fromborku. Pani ta napisała, że jest dłużniczką naszego Ojca i opowie na miejscu, czego ów dług dotyczy. Ojciec wybierał się w tamte strony dla zwiedzenia Mazur i odwiedzenia jednego czy dwóch naszych przedwojennych stajennych, którzy pracowali przy koniach w stadninie w Rzeczej koło Pasłęku. I tak, w czasie wakacji, Rodzice i nas troje młodszego rodzeństwa, dwie siostry i brat wyruszyliśmy do Fromborka. Państwo Łosiowe, właściciele majątku ziemskiego w Lubelskiem, położonego na granicy pomiędzy strefą okupacyjną niemiecką i bolszewicką, znaleźli się w 1944 roku — w momencie tzw. oswobodzania — na granicy nowych i starych

zniszczeń. To znaczy na wschód od nich, wszystko co było stanem polskiego posiadania i polską kulturą dworską i nie tylko, było już zniszczone. Pan Łoś, mól książkowy i naukowiec, nie dostrzegł w pełni zagrożenia, nie tylko dla dworu, ale dla wspaniałej biblioteki, którą w tym dworze posiadał. Dwór nosił nazwę Niemce. Pierwszy frontowy batalion, jaki się pojawił — a frontowcy często pozytywnie się różnili od tego, co ciągnął za sobą front — miał dowodzącego oficera, chyba w randze kapitana, który zajął kwatery we dworze. Rozgościwszy się, grzecznie przyjęty przez właścicieli, wystąpił z taką radą i propozycją nie pozostawiającą złudzeń. „Wszystko co tu macie zostanie zniszczone, naprzód przez naszych, potem przez waszych, szkoda tego, wywieźcie, zanim to się stanie”. Profesor, bo właścicielem dworu był pan Łoś, ówczesny czy późniejszy profesor KUL-u, powiedział, że to jest niewykonalne, nie ma na to ludzi, środków transportu i czasu. Na to kapitan odpowiedział „ludzi i transport ja dam, a jeśli chodzi o czas to mamy przed sobą całą noc”. Rzeczywiście przez tę noc wyjechała do Lublina biblioteka profesora i pewnie te rzeczy i pamiątki, które chcieli zabrać i uratować. Nad ranem, gdy się żegnali, profesor zapytał kapitana czemu zawdzięcza jego gest? Na co ten odpowiedział, że właściwie to nie jemu, ale jego ojcu, który wymusił na nim obietnicę, że uratuje polski dwór, a raczej to, co będzie możliwe do uratowania przed zagładą, co do której ani ojciec, ani syn nie mieli wątpliwości. Ojciec kapitana pochodził z okolic Antonin, dawnych włości Józefa Potockiego, naszego dziadka. Pogorzelncom, a pożary się tam nieraz zdarzały,

właściciel dawał za darmo drewno na odbudowę spalonego obejścia z lasów ordynacji. Była to stara tradycja jeszcze Sanguszkowska, podtrzymywana przez Józefa Potockiego. Takim pogorzelcem był ojciec kapitana.

W tej całej historii nawet nie chodzi o gest właściciela czy szlachetną wdzięczność obdarowanego. Chodzi o najgłębszą pewność ludzi z tamtych stron co do losów polskich dworów i polskiej kultury dworskiej po wkroczeniu Armii Czerwonej. Takim przykładem potwierdzającym w pełni zapowiedź kapitana jest los Chrzastowa koło Koniecpola, pałacu również Potockich z linii tzw. prymasowskiej, gdyż z tej linii wywodził się prymas Polski Teodor (przełom XVII–XVIII wieku). Tym razem już pierwsi frontowi ogołocili pałac z pamiątek sięgających jeszcze czasów hetmana Koniecpolskiego. Na oczach właścicielki Alberty Potockiej, oficer w randze pułkownika zgarnął, co było łatwiejsze do zgarnięcia, reszty zniszczeń dokonali następní, niekoniecznie obcy, w końcu pożar, podobno wzniecony dla ukrycia grabieży, strawił częściowo budynek.

A jaki los spotkałby zamek w Łańcucie, gdyby nie, właśnie — gdyby nie co? Gdyby nie zwrócenie na siebie uwagi, czy też zainicjowanie akcji, która nie uszła uwagi. W Łańcucie i okolicach nic nadzwyczajnego w czasie okupacji się nie działo, nie było znaczących akcji partyzanckich ani odwetowych, nie było wyrzutni V–2 czy też większych zgrupowań niemieckich. Od początku wojny, a na pewno od jej przesilenia zimą 1943 roku uaktywniły się organizacje sprzyjające temu, co szło od wschodu. Zamek i jego mieszkańcy byli przez nich obserwowani tak programowo, jak i z faktu, że był to

jednak liczący się ośrodek. Jest rzeczą oczywistą, że jedną z funkcji każdej organizacji jest zbieranie informacji o terenie. Wszystko co się dzieje, może mieć swoje znaczenie. Wywózka rzeczy łańcuckich nie mogła ująć uwagi i nie zostać zasygnalizowana. Tu Alfred Potocki stworzył wspaniałą okazję propagandową. Władza sowiecka czy też nowo tworząca się ludowa nie przepuściłaby takiej okazji i byłoby dziwne, żeby jej nie wykorzystwała — a w wykorzystywaniu i preparowaniu informacji ta władza była mistrzem. Nowo tworzący się Komitet Lubelski był słabiutkim tworem mającym przeciw sobie większość, bez armii sowieckiej był bezsilny. Ileż można spacyfikować?

Dlatego propaganda miała tak wielkie znaczenie. Propaganda to odpowiednie preparowanie informacji, a ta o Alfredzie Potockim okazała się niezwykle cenna. Jeden aspekt propagandy stanowiło hasło „Oni wywożą — my oddajemy Narodowi”; drugim była oszczercza kampania o sprzedawczykach, kolaborantach i krwiopijcach. Jeszcze był trzeci, może najgroźniejszy, bo ukryty i kto wie czy nie najbardziej udany, a mianowicie zamaskowanie i przewartościowanie pewnych spraw. Szum, jaki propaganda tworzyła wokół wywiezionych zamkowych rzeczy, odwracał uwagę społeczeństwa od spraw znacznie istotniejszych. O tej wydartej narodowi własności rozpisywano się lata całe. Kolejne dziesięciolecia PRL i kolejni bywający w Łańcucie bonzowie i nie tylko, bo i działacze kultury dokładali swoją cegiełkę na ten stos, który od pierwszych wypowiedzi w stylu „lokaj Pana Hrabiego” przeszedł w pseudo historyczną dysertację pt. *Potomkowie Szczęsnego*. Ta książczyzna, wydana w latach osiemdziesią-

tych, w swojej części o Alfredzie Potockim zawiera szereg nieprawdziwych informacji podlanych dziwną zawzięcią. Jest tym bardziej niebezpieczna, że podpisana uznanym nazwiskiem, a więc ktoś następny może podjąć temat, powołując się na nią jako na źródło. Nie do wiary, ale tak się stało. Kiedy w latach dziewięćdziesiątych zdawało się, że ten nieszczęsny stos już się wypalił, rozdmuchała go gazeta emigracyjna, właśnie w oparciu o pseudoznacwcę tematu, autora ww. dziwnego zbioru plotek i nieprawdziwych informacji.

Nikt nie jest w stanie dzisiaj sporządzić rejestru wywiezionych z Łańcuta rzeczy. Natomiast z całą stanowczością mogą stwierdzić, opierając się na wypowiedziach ludzi uczestniczących w wydarzeniach tamtych lat, a także świadków późniejszych perypetii zarówno rzeczy, jak i samego Alfreda, że celem było ich ratowanie w złudnej nadziei powrotu do Łańcuta po przeczekaniu burzy, a na pewno ochrony przed zniszczeniem. Gdyby Alfred miał na celu własne dobro i zabezpieczenie materialne matki na Zachodzie, to wzięcie niewielkiej ilości rzeczy cennych, w tym sławnych łańcuckich sreber, wręcz królewskich zastaw, zabezpieczyło by ich całkowicie i to bez kłopotów. Wzięcie olbrzymiego balastu, w tym wielu obrazów rodzinnych bez wartości rynkowej, mebli, bo te miały wiekową tradycję, książek, archiwów i to przede wszystkim historycznych dowodziło troski o Łańcut jako muzeum, rodzinne czy narodowe. W tej wiekowej tradycji to jest ściśle ze sobą związane. To zamierzenie Alfreda na swój sposób się spełniło, bo mimo że stracił, w każdym razie w znacznej części, to co wywiózł, swoim prowokatorskim wy-

czynnem uratował zamek. Tego być może nie przewidział, ale tak się stało. Każda akcja budzi reakcję — uczono nas tego w dialektyce marksistowskiej.

Reakcja przyszła bardzo prędko. Pierwsi frontowi w osobie generała Kuroczkina przywieźli rozkaz zapiecztowania zamku, uznania go za dobro narodowe i wyłączenia tak dla stacjonującej czy przechodzącej armii, jak i dla swoich, choć jakieś „juble” się tam odbywały. Opowiadania o zauroczeniu generała zamkiem są naiwnością, nie takie zamki i pałace niszczone i plądrowano od lat. W wojsku obowiązuje jedno — rozkaz. Zamku pilnowali dzielni chłopcy z Białobrzegów, pewnie ci sami, co dostarczali na wschód informacje, ale najlepiej dopilnowała zamku służba.

W tym miejscu należy wyjaśnić, kto to byli ci dzielni chłopcy z Białobrzegów, którzy jako bohaterowie i ludowi obrońcy polskiej kultury występowali w dawniejszych reportażach jako zdrowa przeciwwaga zdrady ordynata z Łańcuta? Nie zbierałam żadnych wycinków prasowych w latach komuny i pewnie bym ich nie szukała. Lata osiemdziesiąte włączyły mnie w dogłębsze zainteresowanie losami Kraju i zainteresowanie prasą. Stąd zachowałam reportaż z „Polityki” (nr 23 z 18 VIII 1984 roku), nagrodzony w konkursie ogłoszonym z okazji czterdziestolecia PRL przez Biuro prasowe Rządu i SD PRL. Reportaż uzyskał pierwszą nagrodę, a tematem jest opis koncertu, jaki w tym dniu odbył się w Łańcutie. Przy tej okazji zamieszczono szereg cytatów z dawnych dokumentów czy prasy. Jeden z nich odpowie na wyżej postawione pytanie „Jeszcze wiosną 1944 roku we wsi Białobrzegi w domu An-

toniego Wojnara odbyło się zebranie konspiracyjne Komitetu Okręgowego PPR. Wśród innych, podjęto uchwałę o ochronie pałacu Potockich w obliczu nadchodzącej ofensywy Armii Czerwonej i wyzwolenia kraju. Oddziały AL zabezpieczą pałac po Potockich przed zniszczeniem, grabieżą, czy nierozważnym aktem zemsty ze strony uciskanej ludności” itd., itd. — Jaka szkoda, że wiele innych obiektów polskiej kultury nie miało szczęścia do „takich” obrońców, którzy przeciwstawiliby się nie tylko swoim, ale i aktom wandalizmu Czerwonej Armii.

Przyjazd przedstawicieli władzy lubelskiej był ekspresowy, zjawili się już w pierwszej połowie września. Uroczystość z rozbijaniem herbu, a właściwie dekoracji nad herbem, moja starsza siostra oglądała stojąc z koleżankami w niedalekiej odległości w parkowych zarosłach. Minęło zaledwie parę tygodni od wyjazdu właściciela. Można dostać zawrotu głowy od tego tempa, zważywszy, jakie problemy do rozwiązania miała przed sobą władza lubelska. Refleksje przyszły już niedługo potem, gdy stwierdzono, że Łańcut jest wyróżniony, a innych rezydencji, nawet tych historycznych, nie tylko nie ochroniono, ale żadnej z nich nawet ta „swoja” władza nie kwapi się brać w opiekę, jak choćby sąsiedniego Krasiczyna, tej perły polskiego renesansu.

Zaczęto doszukiwać się różnych ukrytych wpływów, przypisywano sobie ukryte zasługi. Jeden z pracowników ordynacji w późniejszych swoich wspomnieniach stwierdził, że to on uratował zamek, wywieszając na nim napis czy obwieszczenie, że jest to obiekt muzealny. Rzeczywiście Alfred Potocki, wyjeżdżając prosił

o jakieś wizualne podkreślenie tego faktu, ale ani na frontonie zamku, ani na bramie czy murze, nikt niczego nie obwieścił, nawet nie było na to czasu i co by to pomogło? Fakt pozostaje faktem, że pierwsi frontowi zrobili na swój sposób to, czego dokonał anonimowy kapitan we dworze Niemce nad Bugiem. Każde dokonanie musi poprzedzić świadomość. Intencja była całkowicie różna, ale świadomość zniszczenia w przypadku braku ochrony ta sama. Jeszcze trzeba z odpowiednim wyprzedzeniem podjąć decyzję takiej ochrony i nadać jej bieg i to w czasach frontowych, czasach takiego natężenia wypadków, wobec których ochrona dóbr zwalczanej klasy wydawała się niewiarygodna. Ta wyróżniona pozycja Łańcuta na tle wielu innych zniszczeń czy zaniedbań (w Czechach zniszczono Solcę, rezydencję na miarę Łańcuta, własność rodziny Larisch) dała początek i innym dziwnym wersjom ukrytych wpływów, np. nacisków wywieranych przez ambasadę angielską, przy czym sprężyną działań miał być Harry (Herbert),



Stajenny łańcucki Harry

stajenny łańcucki. Biedny Harry, *homo simplicitas*, analfabeta językowy, Anglikiem nigdy nie był, choć po ojcu miał takie pochodzenie. Kochał konie i był tak nierozłącznie związany ze stajniami łańcuckimi, że pozostał w nich niemalże jak rekwizyt.

A co działo się dalej z mieszkańcami zamku w tych brzemiennych czasach? Matka Alfreda, Elżbieta Potocka wyjechała wcześniej. Ta przeszło osiemdziesięcioletnia pani, bywająca wiele i wiele podróżująca, nie odczuwała lęku przed samotną podróżą. Oczekiwała syna w hotelu w Wiedniu, gdzie zaraz na wstępie ukradziono jej szkatułkę z biżuterią. Już rozpoczęło się zagubienie tych ludzi w rzeczywistości, której nie znali i nie przewidywali — to nie były hotele, gdzie kłaniano się hrabinie Potockiej i o nieuczciwości nie było mowy. To był wilczy powojenny świat, a przede wszystkim było to wejście w stan uchodźczy, w stan ludzi, za którymi nikt nie stoi i którzy są do obskubania. Takie stosunki powstają nie tylko w Afryce czy Wietnamie, takie stosunki powstają wśród ludzi nawet cywilizowanych, gdy węszy się po prostu łatwą okazję. Echo tej nieszczęsnej szkatułki obilo mi się o uszy i jakąś wzmiankę o tej historii odnalazłam w jednym z listów Heleny Potockiej do swej siostry Elżbiety.

Alfred Potocki, jak już nadmieniałam, wyjechał w momencie wchodzenia frontu. Wyjechał ze służącym Szymkiem, odwiózł ich do jakiegoś etapu drogi szofer łańcucki Roman Noga. Pozostała w Łańcucie Helena Potocka, pani wówczas siedemdziesięcioletnia, zamieszkała w mieszkaniu nad stajniami, przygotowanym specjalnie dla niej i jej towarzyszkii jeszcze z Antonin,

panny Ptaszkowskiej. Dość prędko przeniosły się na przedmieście mimo że było u nas ciasno. Po przejściu frontu zaczęły się dziać różne rzeczy i lepiej było być razem. Stale zabierano jakieś części domu na kwatery, co czasem dla nas dzieci było zabawne — pamiętam Gruzinów, stryja z bratankiem, którzy urządzali dla nas zabawy. Polegało to na patrzeniu przez rękaw szynela na gwiazdy w nadziei ujrzienia komety; oni przez rękaw lali na nas wodę, a cała zabawa ku rozpaczy Mamy kończyła się walką z wszami. Były i inne momenty, pamiętam gdy nasz starszy brat Roman, z właścicielem domu panem Rutkowskim, odpierali najścia różnych ciurów czy maruderów. Pamiętam też tragiczny fakt, jaki się wydarzył na naszym przedmieściu — zabójstwo młodej kobiety i jej dwójki dzieci przez żołnierza radzieckiego. Trzeci najstarszy wyleciał z krzykiem o pomoc. Nie wiem, czy dobrze pamiętam, ale chyba oficer na miejscu zastrzelił winnego — prawa wojny!

W momencie samego przechodzenia frontu, Mama w obawie możliwych, a nieprzewidywalnych wydarzeń, wywiozła nas, oprócz starszego brata i Babki, do Handzlówki, wsi położonej na południowy wschód od Łańcuta. Tego miejsca nigdy nie zapomnę, tak z uwagi na cudownych gospodarzy, państwa Muszów, z których dziećmi pozostajemy do dziś w przyjaźni, wspominając ten okres tak nasycony wydarzeniami, że pamiętny bardziej niż całe spokojne lata. Błogi spokój, jaki miał panować w Handzlówce położonej na uboczu wśród pagórków i pięknych lasów, już w drodze został zakłócony, gdy nasz konny pojazd został zepchnięty z wą-

skiej polnej drogi przez kolumnę niemieckich czołgów, która tym bocznym traktem akurat uchodziła przed napierającym frontem.



Rodzina Muszów z synową Teresą Lewicką i ukrywającym się akowcem Stefanem Sukiennikiem z Brzeska, późniejszym zięciem Muszów

W Handzlówce spotkaliśmy się z Czartoryskimi z Pełkiń za Jarosławiem, którzy też się tu schronili, przywiódłszy ze sobą konie, młode araby, w złudnej nadziei ich uratowania. Parę sztuk stało pod daszkiem na podwórzu obejścia, reszta była gdzieś w lesie.

Jak słusznie przewidziano, front i działania zbrojne Handzlówkę ominęły, zresztą całe te okolice łącznie z Łańcutem zajęto niemalże bez wystrzału. Ale w tym czasie w Handzlówce zaczęła narastać groza, opowiadano sobie krew w żyłach mrozące historie o napadach

i mordach dokonywanych na ludności polskiej przez Ukraińców — sąsiadów. Za Handzlówką leżała wieś Tarnawatka, wieś lemkowska. W najwyższym punkcie przy kościele w Handzlówce wystawiano warty z obowiązkiem bicia w dzwony, gdyby coś złego zaczęło się dziać. Pewnej nocy dzwon zaalarmował śpiących. Pośpiech, zrywanie zaspanych dzieci, marsz całej wsi w stronę Łańcuta, czyli na Albigową, skąd posypały się nagle salwy karabinowe wpędzające nas do rowu, a w końcu wyjący kobiecy głos z przeciwnej strony stworzył w czarną bezksiężycową noc zupełny koszmar. Miejsco- wi ludzie rozeszli się sobie znanymi ścieżkami i przejściami. Nasza grupa zaległa w parowie między lasem a szosą, odmawiając jakimś niesamowitym szeptem różaniec — bardzo się męczyłam, bo nawet najcichszym szeptem nie mogłam nic wymówić, tak dzwoniły mi zęby. Nad ranem mężczyźni z siekierami, drągami, czy co kto złapał wyszli na szosę, zrobiło się zupełnie spokojnie, więc poszli zasięgnąć języka. Okazało się, że alarm i wrzaski spowodowała jakaś lokalna, a może nawet rodzinna bójka, a serie po szosie puszczały żołnierze radzieccy bawiący się w Albigowej, których poproszono o pomoc, a którym wcale nie chciało się ruszyć.

Pod koniec naszego pobytu cicha i spokojna Handzlówka jeszcze raz się zakłębiła. Nastąpiło nasze pierwsze spotkanie z krasnoarmiejcami. We wsi zjawili się skośnoocy mołojcy na malutkich zajechanych i pokaleczonych konikach — w sumie są to niezwykle mocne i wytrzymałe konie, ale wiele z nich dobiło kresu swoich możliwości. Mołojcy skądś się dowiedzieli, że w Handzlówce są konie pełkińskie i po nie przyjechali.

Łańcuckie konie wzięli już wcześniej, pewnie frontowi. Ogier o imieniu „Łeb w łeb” zwycięsko po paru dniach przygalopował do stajni, a nieszczęsne stare tresowane hackneye, wyrzucające tanecznie nogi w górę, z uwagi na rozmiary i wagę zaprzężone do armat czy innego sprzętu artyleryjskiego dotrwały tylko do Rzeszowa. Wymiana koni odbywała się na naszym podwórzu — nigdy tej sceny nie zapomnę, ten kwik, te ściągnięte piękne końskie głowy, to skądinąd z wielką wprawą dokonywane ujarzmianie nigdy nie siodłanych młodych arabów. Kłębowisko walczących koni i ludzi i te obolałe szkapy nie reagujące na nic. Nie będę opisywać naszych wrażeń... co mówić o koniach wobec całego bestialstwa wojny, ale scena była niesamowita. Staliśmy na ganku, hodowca koni, wuj Włodek Czartoryski o pięknej, łagodnej twarzy stał skamieniały, po policzkach spływały mu łzy, takie bezwiedne. Może tym bardziej zostało mi to w pamięci.

Rekwirowanie koni nie trwało nawet specjalnie długo, do siodła zostały przytroczone luzaki i całe towarzysztwo zniknęło. Zaraz potem zaprzyjaźnione dzieci wiejskie doniosły nam, że niedaleko potoku dogorywa pozostawiony przez żołnierzy konający stepowy koniczek. Moja o rok starsza siostra znalazła się w swoim żywiole. Koń był osłaniany od słońca i much obsiadających jego rany, pojony mimo trudnej leżącej pozycji, a w końcu karmiony i obkładany liśćmi babki. Dlaczego babki? Pewnie dlatego, że Tita nasza niania, kazała nam wiecznie zbierać jakieś liście, pączki do produkcji leków. Trzeba przyznać, że przez te wspólne lata była skutecznym lekarzem i zawsze miała skuteczny specy-

fik własnej produkcji. Od tego wydarzenia pozostało nam do wyjazdu parę dni, trwał wyścig, aby konia postawić na nogi w dosłownym tego słowa znaczeniu. Kiedy zdołał wstać byliśmy, my dzieci, bardzo dumne. Jakiś gospodarz wziął tego nieszczęśnika, którego skóra była jedną blizną i konik mu jeszcze posłużył. Myślę, że był jedynym, który się spokojnie uchował z tego tabunu dłuższych arabszczyków i nieszczęsnych stepowych koniczków.

Rok szkolny 1944/45 rozpoczął się w Łańcucie w prowizorycznych pomieszczeniach w opuszczonych i zapuszczonych żydowskich domach. Gmach naszej szkoły zarekwirowało wojsko na szpital. Niby miasteczko było to samo, ale atmosfera nie była ta sama i różne nastroje różnie ewoluowały. W szkole mojego brata zjawilo się sporo chłopców „z lasu”, znacznie starszych, o bardzo różnych doświadczeniach, chodzących w aureoli bohaterstwa, u wielu niekwestionowanego, u innych chępliwego. Mój brat dorównywał im wzrostem i siłą, ale ani wiekiem, ani doświadczeniem. Chłopcy z lasu mu imponowali, a on im. Niestety alkohol był w modzie.

Nasza Matka sama teraz musiała uporać się z trudnościami życia i liczną gromadką do wyżywienia — było nas domowników dziesięcioro. Była bardzo zmęczona borykaniem się z przeciwnościami losu, ale najtrudniejsze było to, że kolejne punkty oparcia czy pomocy wykruszały się, a gromadka jeszcze nieletnich dzieci i osób starszych z nami związanych oczekiwała od niej rozwiązań kolejnych trudnych sytuacji. Dodatkową trudnością dla naszej Matki stał się tik nerwowy,

który może nie boleśnie, ale krępująco wykręcał jej twarz, nie ułatwiał Jej to życia. Tych nerwowych skurczy nabawiła się jeszcze przed wojną, w 1934 roku, czuwając wiele bezsennych tygodni przy bardzo ciężko chorym mężu. Ta słabość niemal całkowicie zaleczona przed wojną, objawiła się ze zdwojoną siłą wobec napięć i przeżyć, których życie Jej nie szczędziło. Jej żelazna natura zaczęła się wykruszać. Zarządzenie nowych władz, zabraniające nie tylko właścicielowi, ale i rodzinie, zamieszkiwania w rodzinnej siedzibie, a nawet jej pobliżu, objęło i nas. Zresztą Łańcut i tak stracił dla nas rację bytu. W tej sytuacji wiadomość, jaka nadeszła z Londynu od generała Bronisława Regulskiego, przyjaciela i kolegi naszego Ojca z czasów legionowych, rozwiązała chwilowy impas. Generał z grupą oficerów w Londynie rozpoczął akcję łączenia rodzin. Mimo nielegalności i ryzyka, ściągano na punkt zborny rodziny, głównie żony i dzieci wojskowych pozostających na Zachodzie, by je przetransportować do mężów i ojców. Nasza Mama, nie mając od dłuższego czasu żadnych wiadomości o mężu, założyła współdziałanie naszego Ojca z generałem.

I tak w końcu stycznia 1946 roku opuściliśmy Łańcut i zgodnie z instrukcją wyjechaliśmy na Śląsk do Chorzowa. W domu państwa S., na ulicy, którą dziś bym jeszcze odnalazła, rozpoczęliśmy nerwowe dni oczekiwania na sygnał o transporcie. Nasza młodsza trójka z braku lepszego zajęcia jeździła głównie tramwajem od przystanku w Chorzowie, obecnie — wejście na stadion, do ostatniego przystanku w Katowicach. Ten tramwaj rozwiązywał problem stłoczenia, zlej

i zimnej pogody i za długich nie tylko godzin, ale i całych dni oczekiwania. Chorzów to pierwsze miasto, jakie poznałam w życiu, pozostało mi w pamięci tamtych lat dużo bardziej wielkomiejskie, niż późniejsze wrażenia z lat sześćdziesiątych.

Ponieważ na początku roku szkolnego 1945/46 nasz starszy brat Roman wyjechał do szkoły z internatem prowadzonym przez OO. Filipinów w Gostyniu w Poznaniu, gdy znaleźliśmy się w Chorzowie nie było go z nami. Mama, nie znając ostatecznego terminu wyruszenia transportu, bo właściwie nic do końca nie było wiadome, nie zdołała powiadomić Romana. Żadnej normalnej łączności nie było. Będąc już na miejscu oczekiwania i nie mogąc zostawić młodszej trójki, zdecydowała się wysłać najstarszą córkę po brata. Wysłanie ślicznej szesnastoletniej dziewczyny przez pół Polski w tamtych czasach, przy nieuregulowanych warunkach przewozu kolejowego i masie ludzi i wojska zalegających stacje, było ryzykowne. Mama przeżyła dramatyczne chwile. Pamiętam ją klęczącą i modlącą się pewnie całą noc, bo rano, ubrana, była w tej samej pozycji. Właśnie tego dnia nadeszła wiadomość o natychmiastowym załadunku się do wagonów. Jasne było, że albo wszyscy, albo nikt — transport wyruszył bez nas. Trudności z dojazdem naszego brata okazały się zbawienne. Na pobliskiej granicy czeskiej władze nasze i sowieckie już czekały na nadejście tego transportu. Po przesłuchaniu i rewizji wypuszczono kobiety i dzieci. Nielicznych mężczyzn zatrzymano, podobno wywieziono ich na wschód. Wywózki dostarczały potrzebną siłę roboczą, tak za władzy radzieckiej, jak nazistow-

skiej. Jak by się to skończyło dla naszego brata, który w szesnastym roku życia wyglądał na starszego z uwagi na wzrost i siłę mięśni? Mama, przeżywszy ten krótki, ale niesłychanie nerwowy okres jako mocne doświadczenie, dziękując Bogu za jeszcze jeden dowód opieki, powróciła z czwórką dzieci do Krakowa. Piszę powróciła, bo Kraków już wcześniej stał się ostoją naszej babki Heleny. W niezwykle gościnnym domu państwa Franciszków Potockich przy ulicy Brackiej nr 2, wiele osób znalazło schronienie lub rozwiązanie jakiejś tymczasowej sytuacji.

Zagranicą

Była wiosna 1946 roku. Po epizodzie chorzowskim znaleźliśmy się w Krakowie z zapytaniem, co dalej?

Jeszcze w czasie pobytu w Łańcucie Mama zawiozła do nowo utworzonego MSZ-u rezydującego w Hotelu Polonia w Warszawie, podanie o paszport dla naszej Babki Heleny Potockiej.

Od naszego Ojca żadne wiadomości nie nadchodziły. Inicjatywa generała Regulskiego sugerowała ich kontakty, a może i obecność ojca na Zachodzie. W Portugalii przebywał wraz z żoną i czwórką dzieci brat ojca, Józef Potocki. Ten przedwojenny dyplomata i wieloletni pracownik MSZ-u został po wojnie ambasadorem polskim w Hiszpanii. Jakiej Polski? — czy PRL-u, czy II Rzeczypospolitej? Myślę, że po prostu POLSKI. Generał Franco, cokolwiek byśmy o nim sądzili, był postacią nietuzinkową. Opanowanie kraju po takim

rozdarciu, jakie przeżyła Hiszpania i umiejętne wyłączenie go z II wojny światowej tego dowodzi. Otóż dla gen. Franco, Polska — to był Józef Potocki. Mimo uznania PRL-u generał nie zgodził się na akredytację jej przedstawiciela. Rząd Londyński wysłał swojego wybrańca — o nim też nie mogło być mowy. Dożywocie na stanowisku reprezentanta Polski miał Józef Potocki. Zapraszany i reprezentujący Polskę, miał tylko ten szkopał, że musiał swoją domową ambasadę sam utrzymywać. W latach siedemdziesiątych poznałam w Tuluzie córkę generała Orlicz-Dreszera, która z dumą pokazała mi paszport wydany przez tę placówkę, podpisany przez Józefa Potockiego. Był on honorowany na całym świecie.

Poprzez kontakty dyplomatyczne, stryj znał naszą a zwłaszcza swojej matki a naszej babki, Heleny Potockiej, sytuację w Polsce i pragnął jak najprędzej ściągnąć ją do Hiszpanii. Wobec wielomiesięcznego milczenia polskiego MSZ-u, przyjaciel Józefa i Jerzego Potockich, powojenny ambasador USA w PRL, pan Bliss Lane, wysłał naszą Babkę na Zachód samolotem misji amerykańskiej. W ten sposób ta ułomna staruszka już w styczniu 1946 roku znalazła się u syna w Hiszpanii. Właśnie z uwagi na jej kalectwo i wobec przewidywanych trudów podróży, towarzyszyć jej miała w drodze nasza najstarsza siostra, a jej wnuczka Maria i dla tych dwóch osób złożona była prośba o paszport. Niedługo po naszym powrocie do Krakowa, Mama otrzymała niespodziewane pismo z MSZ-u o przyznaniu paszportów Helenie i Marii Potockim, z prośbą o powtórne przysłanie danych, gdyż poprzednio wysłane zagubio-

no. W ten sposób został przesądzony mój z siostrą wyjazd zagranicę. Nasza Matka nie chciała wycofywać podania o paszport dla naszej Babki Heleny, której już w kraju nie było. Jej nielegalny wyjazd, ułatwiony przez ambasadę amerykańską, mógł dla naszej Matki stanowić zagrożenie. Wobec szczęśliwego trafu, jakim było zagubienie papierów w MSZ-e, ja, jako imienniczka mojej Babki, zastąpiłam jej nieobecność. Mama uznała, że będziemy forpocztą dla połączenia z Ojcem, bo nie odwołana akcja gen. Regulskiego utrzymywała Mamę w przekonaniu o obecności męża na Zachodzie. Trzecim niewątpliwym powodem decyzji o wyjeździe dwóch córek była nasza beznadziejna sytuacja materialna.

W Krakowie, w oczekiwaniu na załatwienie spraw wyjazdowych, codzienna troska związana była ze środkami na przeżycie. Najstarsza siostra Maryńcia zaczęła pracować jako kelnerka w cukierni „Trzy Świnki” na rogu ulicy Starowiślnej. Brat wrócił do szkoły w Gostyniu. Te wspaniałe internaty klasztorne uczyły i wychowywały wysiedloną młodzież różnych stanów, w tym sporo ziemiańskiej, za żadne lub niewielkie chesne. Kiedy w parę lat później znalazłam się w Szymanowie w liceum SS. Niepokalanek w gronie podobnej młodzieży żeńskiej, byłam na tyle dorosła, by zdawać sobie sprawę, że chwilami jest to rozmnażanie ryb i chleba.

W Krakowie nas troje najmłodszych, czyli mających dwanaście, jedenaście i sześć lat sprzedawało kartki świąteczne na Rynku. Nie był to jakiś stały proceder, po prostu wobec zbliżających się Świąt Wielkanocnych, Mama wymalowała zupełnie udane kartki, pamiętam, że po otwarciu ze środka wyskakiwała zmyślnie wklejona

ćwiartka jajka, a my po pierwszej udanej próbie sprzedawaliśmy je, zwykle na rogu AB, czyli u wylotu ulicy Szczepańskiej, koło Hawełki. Pamiętam dwa incydenty, jakie miały miejsce w związku z tymi kartkami. Nieślychane napięcie i podniecenie wywołała w nas wiadomość o przyjeździe do Krakowa szwagra mamy pułkownika Remigiusza Grocholskiego, owianego famą niesłychanych przeżyć partyzanckich. Ten dowódca sławnego „Wachlarza”, ranny później w powstaniu warszawskim, w którym brała udział również jego żona Barbara i czworo z dziesięciorga dzieci, był dla nas postacią legendarną. Po rozmowie starszych, mama pozwoliła nam poprosić Wuję, który był świetnym rysownikiem, o nowy wzór na nasze osławione kartki. Wzięłyśmy nieślychaniem serio to zadanie i oczekiwałyśmy audiencji z kartką i ołówkiem w ręku. Gdy pozwolono nam wejść do pokoju, ja ruszyłam pierwsza i to był mój błąd — i z uwagi na starszeństwo siostry, i po prostu współzawodnictwo. Zostałam przygwożdżona dobrze zatemperowanym ołówkiem, do tego chemicznym. Ślad na udzie mam po dziś dzień. Był to bojowy ślad przed naszą prawie trzyletnią rozłąką, a byłyśmy dotąd nierozłączne. Przeżycia tamtych lat scementowały nas, a przekroczenie obowiązujących reguł zwykle kończyło się bójką. Nie wpływało to na naszą komitwę, po najostrzejszej konfrontacji słowo zgoda lub niewidoczny dla nikogo uścisk ręki, kolana, ramienia był sygnałem, że wszystko dobrze.

Ostatnia sprzedaż kartek o nowych bardzo udanych wzorach odbyła się błyskawicznie. Był ładny marcowy słoneczny dzień. Pełni dumy liczyliśmy nasz utarg, gdy nagle ktoś łapskiem po niego sięgnął, był to pijany

radziecki żołnierz. Nie pamiętam, jak wykaraskaliśmy się z tej sytuacji, mieliśmy przewagę młodych nóg i nasz bieg z dużo młodszym bratem pomiędzy nami na ulicę Bracką nr 2, czyli po przekątnej Rynku, był błyskawiczny. Tak zapamiętałam mój ostatni dzień w Krakowie, potem było szybkie pakowanie niewielkich tobołków i wyjazd z Mamą do Katowic.

Moja najstarsza siostra Maryńcia i ja wyruszyłyśmy za babką Heleną, gdzie? — mało sobie z tego zdawałam sprawę, na razie przygniotła mnie rozłąka. Ten nasz wyjazd, w przeciwieństwie do poprzedniego, był normalny. Paszporty miałyśmy legalne. Może mniej normalny był sam konwój, choć jak na tamte czasy, jedyny możliwy. Był to transport zorganizowany, o ile dobrze pamiętam, przez Czerwony Krzyż w ramach akcji odsyłania do Włoch żołnierzy włoskich, amnestionowanych zgodnie z alianckimi porozumieniami, z rosyjskich łagrów. Jak zwykle przy takich okazjach, do konwoju dołączono różne postronne osoby, które miały legalne papiery na wyjazd. I tak w chłodny, mokry, a nawet proszący śniegiem marcowy wieczór, a może popołudnie zaciemnione chmurami, mając nieskończoność jeszcze dwanaście lat, wyjechałam z Polski.

Czy przeżyciem był wyjazd, albo perspektywa Zachodu czy Francji? Nie, bo niewiele mi to mówiło. Przeżyciem i to dużym, była rozłąka i pożegnanie z Mamą, bliskimi, rodzeństwem i dlatego tę chwilę tak dobrze pamiętam. Zostaliśmy zapakowani do bydłęcych wagonów, przystosowanych do przewozu ludzi, były piętrowe prycze, koce, stołki, drabinka i wiadra na różne cele, między innymi na zupę i herbatę dostarczaną

raz dziennie z przynależnej transportowi kuchni polowej. Obie z siostrą zostałyśmy oddane pod opiekę rodzinie państwa Reyów z Przecławia. Państwo Reyowie, ona z domu Branicka, wyjeżdżali do matki osiadłej od lat we Francji, w miejscowości Montrésor, związanej tak z rodziną Branickich, jak i najściślej z historią emigracji polskiej zeszłego wieku.

Dla mojej siostry Maryñci miłą niespodzianką było poznanie niewiele od niej starszej kuzynki Ani Rey, a dla mnie zaledwie trzy miesiące ode mnie starszego Ksawerego. Moje łzy osuszyła jego uwaga, niezwykle dla mnie szokująca: „masz tu papierosa — to ci dobrze zrobi”. Ta propozycja wymagała wyrzeczenia ze strony kuzyna — miał jednego papierosa, z którego zresztą nie skorzystałam, ale zaskoczenie i obserwacja jego zabiegów z zapalaniem były jakimś oderwaniem czy przerwaniem szoku odjazdu. Przez najbliższe tygodnie, a nawet miesiące staliśmy się nierozłączną parą, chyba nie najłatwiejszą dla naszych opiekunów. Na razie, zupełnie spontanicznie, mieszkańcy wagonu rozdzielili się na stronę chrześcijańską i izraelską. Po tamtej stronie też było dwoje dzieci, jedno musiało być w naszym wieku. Droga bardzo się dłużyła, transport ciągle zatrzymywano, tak z braku wolnych torów, jak i konieczności wykupywania się czeskim kolejarzom, głównie papierosami czy innym towarem. Wobec dłużeń się godzin podpatrywaliśmy drugą stronę, ich modlitwy z uwagi na akcesoria i rytuał nas fascynowały. Pamiętam, że zaczęliśmy wykonywać podobne ruchy kiwania, bez złośliwości, bezwiednie, co zostało źle odebrane, wybuchła awantura.

Po południowej stronie Tatr zrobiło się ciepło, wiosennie, kwitły sady, jechaliśmy wolno, można było otworzyć drzwi. Jadący z nami Belg, również zwolniony więzień, zamocował nam drabinkę w poprzek drzwi tak, że mogliśmy bezpiecznie siedzieć, wreszcie przestaliśmy być zamknięci w ciemnych paru metrach.

Droga była chwilami nużąca, ale przygód nie brakowało. W okolicach Pilzna, Miś, bo tak wszyscy nazywali brodatego pana Reya, wyszedł z pociągu do dworcowej budki z piwem. Któż nie pije piwa w Pilźnie, wziął mnie ze sobą. Okazało się, że budka nie była tak znowu blisko, a dodatkowo oddzielały ją od naszego transportu całe szeregi szyn. Po krótkim gwiździe nasz pociąg ruszył prędzej niż się spodziewano. Biegi przez szyny są niełatwe, Miś dopadł naszego wagonu już w ruchu, mnie wciągnęli do jakiegoś kolejnego włoscy żołnierze. Wszystko odbyło się wesoło przy dopingu i śmiechu. Włosi stale śpiewali, cieszyli się, przecież wracali do domu. W wagonie były pieluszki i ich ostry zapach. Piegowata młoda mamma trzymała niemowlę na ręku, było dużo ruchliwej wesołości. Jechałam z nimi dobry kawałek, próbując wraz z żołnierzami, gdy pociąg wchodził w łuk, pokazać się swoim, bo przeżyli moment grozy, gdy nie dotarłam do naszego wagonu przed wyruszeniem w dalszą trasę do Wiednia. W Wiedniu opuścili nas jadący z nami Żydzi. Oprócz naszej grupy i Belga jechała z nami przypadkowo spotkana znajoma jeszcze z Łańcuta, pani Irena, śliczna młoda osoba zaręczona z alianckim pilotem ukrywającym się w tamtych okolicach. Pamiętam innego pilota, Anglika, który zachodził do nas w Łańcutcie tuż przed końcem okupa-

cji. Mama mówiła po angielsku, jego też ukrywała miejscowa partyzantka.

Droga z Wiednia prowadziła przez zachodnią strefę okupowanych Niemiec. Zatrzymywani byliśmy już nie tyle przez konieczność opłacania się, co przez tory zawałone transportami z wojskiem i sprzętem — przecież dopiero parę miesięcy upłynęło od zakończenia wojny. Wiele szlaków zostało zbombardowanych. Zasadniczo nie wolno nam było wychodzić z pociągu, ale dzieci trudno utrzymać. Nigdy nie zapomnę morza ruin i sterczących kikutów wież kościelnych. Z wysokiego peronu zobaczyłam coś bezkresnego i niesamowitego, była to Norymberga. To moje osłupienie przerwał amerykański żołnierz koloru ciemnej czekolady, to też był szok, coś do mnie zagadał, pewnie zaganiał do pociągu. Już w latach osiemdziesiątych, wracając autem z Francji, poprosiłam mojego męża o zajechanie do Norymbergii i zwiedzenie dworca i okolic. Naturalnie nic nie przypominało tamtych wrażeń, miasto odbudowano bardzo ładnie, a tamtego dworca w ogóle nie mogłam odnaleźć.

Moja śliczna siostra i kuzynka wzbudzały szczerą entuzjasm żołnierzy amerykańskich. Oprócz okrzyków i gwizdów, wrzucali w otwarte drzwi wagonu paczki papierosów, czekolady i sucharów. Jeżeli któryś z transportów był w ruchu, zwykle powolnym, to trafienie i wyłapywanie było rodzajem sportu. Zabezpieczeni drabinką oboje z Ksawerym bardzo dobrze żeśmy się bawili. Niestety nasze siostry nie zawsze chciały się pokazywać, a już tym bardziej na nasze prośby czy wymagania, co uznaliśmy oboje za egoizm, a może to my uprawialiśmy dziecinny terroryzm.



Zdjęcie Ani Rey i Maryńci Potockiej
z 1948 lub 1949 roku

I tak w końcu dotarliśmy do Metz, tam dopiero dowiedzieliśmy się, że nasz transport dobił końca i dalszą drogę do miejsca przeznaczenia każdy odbywa na własną rękę. Naszym celem był Paryż, a następnie Mont-résor, gdzie byłyśmy zaproszone przez przemiłych naszych opiekunów, a przede wszystkim przez ich matkę, osobę z pokolenia naszych dziadków, Annę Potocką–Branicką, bliską kuzynkę Romana i Józefa Potockich z Łańcuta.

Anna Branicka, odznaczona przez francuski ruch oporu, była wielką patriotką. Była osobą jakby z wzorca dawnych cnót, mądra i wykształcona cieszyła się uznaniem tak miejscowych, jak przybyłych. Prowadziła w tych trudnych powojennych czasach dom otwarty,

gdzie znalazło schronienie wiele osób zarówno z rodziny, jak i przyjaciół, po różnych ciężkich przejściach wojennych.

Po chwili zamieszania na stacji w Metz, i całym tygodniu tej dziwnej podróży, wsiedliśmy do normalnego pociągu do Paryża i wylądowali w domu Branicich na rue de Penthievre. Czas oczekiwania na auto, które miało nas dowieźć do celu naszej podróży spędziliśmy z Ksawerym głównie w windzie, wspaniałej



Zamek w Montrésor

otwartej, szklano–drewnianej, którą o ile dobrze pamiętam, w końcu zepsuliśmy. Do Montrésor przyjechaliśmy na samą Wielkanoc, bo zaraz rzucili się wszyscy w wir przygotowań polskiego święconego. Ludzi w Montrésor było sporo.

Montrésor, to małe miasteczko położone w Tureni, pośrodku którego wyrasta nad rzeczką Indredrois na naturalnej wysokiej skale średniowieczny w założeniu, później przebudowywany zamek, we władaniu rodziny Branickich od połowy zeszłego wieku.



Biblioteka zamkowa, na kominku biust Anny z Potockich Branickiej, na ścianach rodzinne portrety pędzla Winterhaltera

Na zwiedzających robi wrażenie cudownym położeniem, wspianiałymi, wielometrowymi, średniowiecznymi murami wokoło oraz polskim urządzeniem wnętrza.

W tamtych czasach życie zorganizowane było w zamku — dziś muzeum. Była służba, zarządzający, konie, takie dworskie życie — dawno nie istniejące. Jakie wrażenie zachowałam z tamtego momentu przyjazdu i tamtego okresu? Całe moje dotychczasowe dwunastoletnie życie było przeplatanką kontrastów, spowodowanych wojennymi przypadkami. Pałac, chałupa, spanie na ziemi, cudowny dwór, nagłe osaczenie, zamek łańcucki, później przemiły dom na przedmieściu przez przeszło trzy lata jako tako uregulowanego życia z normalną szkołą, przerwana frontem i wyzwoleniem z wszystkimi tego konsekwencjami. Montrésor i cała nasza dziwna jazda wplótł się w ten szereg niekończących się zmian w tak różnej oprawie, że nie to na mnie najbardziej podziałało. Dziś, kiedy uszeregowałam moje wspomnienia i jestem w wieku, gdy pamięć najlepiej obejmuje dawne przeżycia, mogę z całą odpowiedzialnością powiedzieć, że największym, choć wówczas dla mnie nie do sprecyzowania przeżyciem była różnica atmosfery. Od chwili gdy moja pamięć sięga, czyli od piątego roku życia, bez względu na krótsze czy dłuższe okresy względnego spokoju — atmosfera była napięta, warunki prowizoryczne bądź nienormalne, zagrożenia odczuwalne. Napięcia dorosłych dzieci odbierają jak anteny, nawet gdy nie są wypowiedane. W Montrésor panowała radość, autentyczna wesołość, mimo nostalgii wspomnień, wynurzeń czy świadomości sytuacji kraju. Byliśmy w wolnym, nie zniszczonym kraju, mimo że np. jedzenie i papierosy były na kartki.

Te długie wspaniałe wakacje w domu dostarczającym ciągłych wrażeń z uwagi na ilość i rodzaj przewijających się ludzi, opowieści gen. Klemensa Rudnickiego — cie-



Anna Branicka z córką Jadwigą Reyową, jej trzema córkami i zięciem, Tyszkiewiczowie, Lula Esterhasy, Helena i Maryńcia Potockie oraz Andrzej Potocki, więzień Dachau

kawych egzotycznych z afrykańskich frontów bądź tragicznych, ale bohaterskich spod Monte Cassino, czy jeszcze bardziej tragicznych syberyjskich i obozowych, jak np. dwóch braci Potockich z Krzeszowic, więźniów Dachau w wieku lat piętnastu i szesnastu z matką więźniarką Ravensbrück. Wszyscy, zarówno młodzież, jak dorośli i najbardziej niesubordynowani zagończycy byli podporządkowani rytuałowi i hierarchii panującym w tym bardzo patriarchalnym domu. Właścicielka, bardzo już wiekowa pani Anna Branicka, samą swoją obecnością, spojrzeniem, już nie mówiąc o uwagach, bo tych robiła niewiele, budziła taki respekt i szacunek, że ta gromada ludzi w różnym wieku i po bardzo różnych



Lena Rudnicka, córka generała, późniejsza karmelitanka,
Cesia Rey, Helena Potocka i Ania Rey

przeżyciach, funkcjonowała na zasadach najwyższej poprawności.

Dlaczego tak mię to dzisiaj frapuje? Pewnie dlatego, że przy wielkiej serdeczności dla młodych i najmłodszych nikt ich się nie pytał o zdanie, nikt się z nimi nie pieścił, choć wciągał w orbitę zajęć i zainteresowań starszych. Nikt nie odwracał odwiecznej hierarchii, że to młodzi podporządkowują się starszym, a starsi pamiętają, że są dla nich ciągłym przykładem zachowań. Naturalnie nie wszyscy są idealnym wzorcem, ale wystarczy taki zwornik na szczycie, jakim była pani Anna, by utrzymać stabilność.

W dużym domu, bo jeszcze były aneksy, mieszkania nad stajniami i rodzaj oficyny wtopionej w średnio-wieczne mury, byliśmy z Ksawerym najmłodszi. On dwunastolatek, mający słabe zdrowie, miał zagrożone płuca, był trochę na specjalnych prawach, którymi i ja byłam objęta. Np. po świętach Wielkanocnych zapisano mnie do miejscowej szkółki, prowadzonej o ile pamiętam przez zakonnice, a fundowanej osiemdziesiątych lat wcześniej przez Branickich. Szkoła odbywała się rano i popołudniu. Ponieważ Ksaweremu ubyło dobrego kompana, przyjeżdżał pod szkołę konno z drugim luzakiem, osiodłanym, dopominając się o zwolnienie mnie, bo przecież w Polsce szkoły popołudniu nie ma. Nauczycielka była zaskoczona, nasz francuski migowy, a nuda na lekcjach, z których niewiele rozumiałam tak dobijająca, że nieraz te dziwne zwolnienia były wybawieniem. Na koniach nie bardzo wolno było jeździć, bo jeden silny Coco był we władaniu rządcy, a drugi stary wyścigowiec Senegal miał pozrywane ścięgna, więc tylko taka waga jak nasza była mu dozwolona. Pamiętam te cudowne sześć miesięcy w Montrésor jako okres wyjątkowych wakacji, zaskakujących wrażeniami, tak napotkanych ludzi, jak sytuacji. Pomędzy trudnymi przeżyciami i bytem w Polsce a zamknięciem w klasztornej szkole w Belgii, gdzie dotarłyśmy z Marynią w pierwszych dniach października 1946 roku, był to niewątpliwie zastrzyk ciekawych wrażeń i zdrowia.

Przedtem zobaczyłyśmy się w Montrésor z naszą ukochaną Babką Heleną Potocką, która przyjechała do nas na parotygodniowy pobyt z Hiszpanii, by zdecydować o naszym losie z przybyłą po nas siostrą naszej

Matki, Marią-Józefą Grocholską osiadłą w Belgii po uwolnieniu z obozu w Ravensbrück, prezeską Polskiego Czerwonego Krzyża na ten kraj. W Belgii odnalazła się grupa osób z rodziny Czetwertyńskich, rodziny naszej Matki, osób zwolnionych z oflagów i obozów, również tych popowstańczych, oraz ich rodzin, którym udało się do nich dotrzeć.

Zanim wyruszyliśmy do Belgii, pojechaliśmy do Paryża na umówione spotkanie z Elżbietą Potocką z Łańcuta i jej synem Alfredem. Pamiętam, że tak jak przyjazd naszej Babki Heleny, tak i to zapowiedziane spotkanie wprawiło nas w euforię wzruszeń. Mimo cudownego pobytu w Montrésor tęskniłyśmy za Mamą, rodzicielstwem i całym domowym łańcuckim życiem. Obo-



Helena Potocka w chorzowskich butach, Maciek Mycielski i Ika Krzczunowicz, Montrésor 1946 rok

jętne czy mieszkaliśmy w zamku czy na przedmieściu, Łańcut był domowy, miałyśmy szkołę, koleżanki. Dzięki stryjowi Mama miała oparcie, a my dom, który wojna nam rozbiła. Ileż pamiętam cudownych momentów zaaranżowanych przez tych w końcu starych i do dzieci nieprzyzwyczajonych ludzi, żeby umilić nam życie. Od miłych spotkań, wspólnych Świąt, specjalnie pomyślanych zabaw — stryj Alfred miał kolekcję niesłychanych gadżetów do zaskakiwania i bawienia gości. Ubierano nas — do dziś pamiętam specjalnie uszyte w szwalni zamkowej świąteczne bajkowe sukienki. Jarzyny i kwiaty z ogrodu raz czy dwa w tygodniu przywoziła na wózku–platformie mała łaciata klaczka Herta. Ci starzy ludzie wnosili spokój i pogodę w nasze bardzo nad-szarpięte dzieciństwo bez Ojca. Wiadomość o planowanym spotkaniu poprzedziło zapytanie o potrzebny prezent. Poprosiłyśmy o letnie buty, których nam bardzo brakowało. Na wyjazd zagranicę dostałam po siostrze Necie ową łańcucką świąteczną sukienkę, bo z mojej już wyrosłam, i nosiłam do niej wysokie sznurowane buty, które nie miały już podeszew. Były kupione w zimie w Chorzowie i podeszwy miały chyba z tektury. Ja się tym nie przejmowałam, ale cierpiałam nad tym moja starsza siostra Maryńcia, która mi matkowała. Wysłałyśmy obrys nóg. Ciocka Betka uznała, że nie mogę mieć większych stóp od mojej o prawie pięć lat starszej siostry i obie pary były tej samej wielkości, a może większych nie było. Wcisnęłam się w te sandaalki i do dziś pamiętam ich kształt, ale nosić ich nie mogłam, niemniej byłam niezmiernie wdzięczna, nawet jeśli buty pozostały rekwizytem, ale to nie było ważne, ważne było spotkanie!

Boże, jacyż oni byli inni od moich wspomnień o nich. Tak mię to przytłoczyło, że nagle odeszłam od stołu, przy którym siedzieliśmy i podeszłam do wielkich okien wychodzących na plac Vendôme, bo spotkanie odbywało się w kawiarni hotelu Ritz. Pamiętam, że był zimny dzień drugiej połowy września i że padało. Zobaczyłam tę parę bardzo kochanych ludzi tak inną od moich wspomnień o nich, byli postarzali, smutniejsi i nadrabiali miną. Wypytywali nas o mnóstwo rzeczy, o ludzi, o każde wspomnienie, bo przecież pozostaliśmy w Łańcucie jeszcze przez półtora roku po ich wyjeździe. Niby ci sami, a zupełnie inni, jedyne co się nie zmieniło to ich wzajemny stosunek. Cudowna para bardzo kochających się ludzi, którzy bez siebie żyć nie mogli i już nie umieli. Ona trochę zawsze fukająca na niego, on opiekuńczy, a równocześnie podporządkowany, robiący wszystko, by ta ukochana matka, pani dobrze po osiemdziesiątce, jak najmniej odczuła wygnanie i opuszczenie. Na pewno ich przeżycia i warunki bytowe były nieporównywalne do wielu ciężkich wojennych losów, ale nie należy też za dużo porównywać i za dużo osądzać. Zawsze i mnie, a zwłaszcza moją starszą siostrę znającą dobrze historię i możliwości tych ludzi, irytowały ostre sądy, często nawet ludzi z naszego środowiska, którzy wszystko wiedzieli za innych. I tak pamiętam zgorzsenie Ritzem — bo to przecież drogi paryski hotel. Te i wiele innych osądów utkwilo w mojej dwunastoletniej głowie, może dlatego robiłam ankiety na własny użytek — co zawsze lepsze, niż osądzanie bez informacji. Właścicielami hotelu Ritz w Paryżu byli ludzie cieszący się bardzo dobrą sławą z okresu

okupacji (był o nich robiony po wojnie film). On baron Pfiffer, ona pani Gutman, siostra pani Morstinowej z Krakowa, byli po prostu ludzcy i życzliwi, zwłaszcza dla swoich dawnych gości, dziś wygnańców zza żelaznej kurtyny. Ofiarowując im na pewno nie apartamenty, ale tańsze pokoje i robiąc dyskretne zniżki, nazywali ich swoimi „kochanymi wygnańcami”. Niby nic, a bardzo dużo, bo pewien dar delikatności i serca. Wiem to od Zosi Jordan, prawdziwej kroniki polskiej emigracji określonego środowiska. Piszę „kronika”, bo Zosia wiele wiedziała, bardzo pomagała i nie plotkowała, były to informacje, a nie osądy.

Dawni właściciele Łańcuta nie mieli w Paryżu rodziny, u której mogliby osiąść. Mieli francuskich starych kuzynów, gdzie zasiadanie nie było w zwyczaju, zwłaszcza w nieogrzanym Paryżu, z jedzeniem na kartki. W dziwnej sytuacji znaleźli się ci starzy ludzie, dalej uważani za wybrańców losu, za ludzi o różnych możliwościach, *de facto* nie istniejących realnie — a jeszcze chwilę temu była ordynacja łańcucka, bardzo zagrożona bankructwem, ale była. Z osławionego spadku po Mikołaju Potockim, którego saldo już przed wojną było dla Łańcuta ujemne, pozostał dom w Paryżu. Dożywocie na nim miała przyjaciółka Mikołaja Potockiego, zmarła w czasie okupacji, a więc teoretycznie znowu los szczęścia. Niestety teoretycznie, bo mimo dobrego położenia koło Lasku Bulońskiego, uzyskanie za niego odpowiedniej ceny w momencie nie okrzepniętego rynku nieruchomości, z dużą liczbą domów na sprzedaż i to wspianiałych, rekwirowanych kolaborantom, było niemożliwe. Oni nie mogli czekać na zmianę tej nieko-

rzystnej koniunktury, a 65% podatek spadkowy, jakim był obłożony cały zapis, obowiązywał nadal. Do tego dochodziły obciążenia z tytułu agencji sprzedaży i adwokata, bo trzeba było swoje prawa udowodnić itp., itd. I znowu poprzedzająca fama, a realia były rozbieżne do granic trudnych do uwierzenia. Nawet nie wiem, czy dochodzenia doprowadzili do końca, natomiast pamiętam, że komentarzom nie było końca.

Alfred się nie tłumaczył i słusznie, bo niby z czego, nie miał zwyczaju rozprawiania o swoich sprawach. Miał przed sobą cel pierwszy, utrzymać staruszkę matkę w warunkach jak najmniej dających jej odczuć wygnanie i brak domu. Bardzo się postarzała i zaczęła upadać na zdrowiu. Musiał również uporządkować i zabezpieczyć wywiezione z Łańcuta rzeczy. Wystarczy zapytać tych, którzy swoje wywiezione z zamożnych domów rzeczy ulokowali w zdawałoby się bezpiecznych i pewnych miejscach. Jak po latach je zastawali lub nie zastawali, odbierali lub odebrać nie mogli. Cała ta nieciekawa epopeja jest jednym ze skutków wojny, a ponieważ dotyczy posiadania, nieraz rozpałała ludzkie namiętności bardziej niż jest tego warta.

W tejże kawiarni Ritza pożegnaliśmy się bardzo czule, ale nie ostatecznie, były planowane następne spotkania. Nie zobaczyłam ich nigdy więcej. Zamieszkali w Szwajcarii, gdzie staruszka Elżbieta żyła jeszcze cztery lata w bardzo dobrych warunkach, jakie stworzył jej syn. Planowali oboje wyjazd do syna i brata do Limy, z tych planów nic nie wyszło. Doczekali się odwiedzin Jerzego Potockiego z rodziną, po czym Elżbieta pogodzona z Bogiem zmarła w 1951 roku w Lau-

sanne. W tym samym mniej więcej czasie zmarł Szymek, lokaj i powiernik Alfreda, ostatnia żywa więź z Łańcutem. Równocześnie spadł na Alfreda, dziwny i zupełnie nieoczekiwany pozew. Wszystkie te trzy sprawy, czy ciosy spowodowały jego ostrą zapaść zdrowotną, był bardzo poważnie chory i właściwie już nigdy do zdrowia nie wrócił. O tych sprawach dowiadaliśmy się z listów, głównie od pana Alika Poklewskiego, mieszkającego w Londynie wielkiego przyjaciela braci Potockich. Mimo odległości był stale w kontakcie z Alfredem, który nagle w Szwajcarii stał się bardzo samotny.



Jerzy i Alfred Potoccy po śmierci matki,
Szwajcaria, wiosna 1951 rok

W latach pięćdziesiątych byłam już w Polsce, po dwóch latach spędzonych w Belgii. Belgijska szkoła nie była dla mnie łatwa tak z powodu rygoru, ten był trochę koszarowy, jak i braków językowych. Przy przyjmowaniu do szkoły chciano mnie cofnąć i to znacznie w stosunku do mojego wieku. Przełożona powiedziała to mojej ciotce w momencie mojej prezentacji w sposób dość stanowczy, zakładając, że niewiele rozumiem. Moja ciotka nie bardzo mogła oponować, bo byłam przyjmowana z kontyngentu pomocy dzieciom wojennym za symboliczną opłatą. Ukochana siostra mojej Mamy opowiadała mi później, że mój sprzeciw był wypowiedziany poprawnie po francusku, pełnymi zdaniami. Do dziś mnie dziwi, że nadążyłam za programem szkoły, której nie lubiłam, ale się zawzięłam. Czy dlatego, że mój sprzeciw był zobowiązaniem? Czy też, że bardzo silnie tkwiło we mnie poczucie ambicji narodowej, dodatkowo drażnione przez siostrę zakonną z pochodzenia Niemkę. Była młoda, ładna i pewnie miła, ale nieopatrznie się mnie spytała, czy lubię Niemców. Moje gwałtowne zaprzeczenie nie ułatwiło mi życia.

Była to dobra szkoła o dobrym poziomie nauczania z olbrzymim internatem, w którym mieszkały dziewczęta w różnym wieku. Położona była między Antwerpią i Brukselą, gdzie czasem dojeżdżałam na Święta do domu wujostwa Iziów Czetwertyńskich. Muszę tu opisać tę następną polską rodziną wyspę.

Zwolniony z oflagu oficer polski Jerzy Czetwertyński dobił do Belgii, gdzie, o ile dobrze pamiętam, przed wojną studiował na Uniwersytecie w Leuven. Matka, żona, stryj i mały synek dojechali do niego zaraz po



Marjózia Grocholska z córką Maryjką
i siostrzeńcem Mikołajem Grocholskim.
Obie wywiezione do Niemiec do obozu

wojnie, właśnie w ramach pomocy w łączeniu rodzin polskich oficerów. Przed wojną mieszkali na wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej. Hekatomba tej rodziny była straszliwa, opisywałam już Suchowolę, skąd zabrano wszystkich mężczyzn do Oświęcimia, gdzie

pozostał ojciec Jerzego, wyratowany niewiele wcześniej z wywózki na Wschód. Niestety jego syn Andrzej, brat Jerzego, wywieziony z żoną innym transportem, zaginął bez wieści. Drugi brat również wywieziony do Oświęcimia, zamienił obóz na więzienie na zamku lubelskim, ale przynajmniej się uratował, by trafić po wojnie do więzienia w PRL-u. Nie będę tu opisywać historii jego siostr i ich rodzin, bo te choć niełatwe, nie były przynajmniej tak tragiczne. Wszyscy ci ludzie potracili swoje odwieczne siedziby — bo często te domy pamiętały wieki — w ciągu niemalże chwili i do brze jeśli uratowali życie.



Odwiedziny Maryjki Grocholskiej w mojej pierwszej szkole

W Belgii oprócz Jerzego i jego rodziny znalazła się także grupa siostrzeńców, młodzieży wywiezionej z po-

wstania, no i my, dwie siostry Potockie. Najlepsze i najłatwiejsze do osiągnięcia okazały się szkoły belgijskie. Ku mojemu wielkiemu żalowi rozłączono mnie z siostrą, choć już wtedy rozumiałam, że to konieczne. Maryńcia znalazła się u sióstr Sacré–Coeur w Brukseli. Zarówno rozłąka, jak i szkoły, a zwłaszcza internaty były dla nas bardzo trudne. Nawet nie internat jako taki, szkoły z internatem były w tradycji ziemiańskich rodzin, gdyż często dom rodzinny był oddalony od ośrodka z dobrą szkołą. Bariera językowa też nie była barierą, która by zamykała nasze kontakty, tę dość prędko przewyciężyłyśmy. Bariera, która oddzielała nas od naszych rówieśnic, a nawet i sióstr zakonnych były nasze przeżycia, nasze doświadczenia, nasze różne reakcje i różne reakcje na nas. Po latach mogę nawet docenić pozytywy tego okresu, ale wtedy nie było mi łatwo.

Wobec bardzo trudnych warunków materialnych powiększającej się rodziny wujostwa, dalszy ich pobyt w Brukseli okazał się niemożliwy i cała rodzina przeniosła się na zaproszenie niezwyklego barona w Ardeny, w śliczne miejsce. Baron miał tam majątek ziemski i parę niezamieszkałych pewnie pracowniczych domków. Objęliśmy jeden z nich i nazwali „Villa des Roses” (różana willa). Domek z kamienia obrośnięty był dziką różą. Te przenosiny miały zasadniczy wpływ na moje życie — zmieniłam szkołę. Drugiego roku pobytu w Belgii byłam w szkole również klasztornej z internatem koło miejscowości Huy, też w Ardenach. Szkoła miała inny program, bardziej humanistyczny profil nauczania. Porównując moje roczne pobyty w dwóch

różnych szkołach wolałam i lepiej się czułam w drugiej, niewielkiej, ekskluzywnej, z podejściem do uczennic bardziej indywidualnym, natomiast pamięć o koleżankach i to po tylu latach zachowałam z pierwszej. Te przedstawicielki przeważnie tzw. klasy średniej były miłe, proste w obejściu, serdeczne. W pierwszej szkole zostałam przydzielona do małej grupy walońskiej, która była w defensywie, co też stwarzało specjalne więzi, choć Flamandki okazywały mi zainteresowanie na zasadzie wyróżnienia właśnie z tej grupy. W sumie był to ciekawy okres, ale do oceny dopiero po czasie, na razie miałam tylko jedno marzenie — powrót do Polski!

Naszą opiekunką była siostra Mamy, Maria-Józefa Grocholska. Bardzo ją kochałyśmy i podziwiali. Życie nie szczędziło jej ciężkich przeżyć. Niedługo po ślubie straciła tragicznie męża, a następnie syna. Przed wojną prowadziła w Lubelskiem koło Suchowoli swój posagowy majątek Plantę. W czasie wojny, zaangażowana w pracę podziemnej, została wraz z córką, osiemnastoletnią Maryjką aresztowana. Maryjkę chwala Bogu wypuszczono. Matkę, po pobycie w więzieniu na zamku lubelskim, wysłano do Ravensbrück. Po wyzwoleniu trafiła do Belgii do specjalnie zorganizowanego przez władze alianckie obozu dla wyswobodzonych więźniarek i tu spotkało ją niesłychane zdarzenie, które nękało ją do końca życia. Wszystkie jej dotychczasowe doświadczenia, bez względu na ich tragiczny wymiar, były chwalebne i ta niezwykle wierząca osoba odnajdywała w nich swoją drogę. To, co spotkało ją w belgijskim obozie było upokorzeniem i niesprawiedliwością, z którymi nie mogła się pogodzić. Obóz dawał nie tylko

podstawowe oparcie, ale ułatwiał szukanie swoich, zagubionych oraz kontakty telefoniczne do podobnych placówek itp., itd. Tym sposobem Maria Grocholska zlokalizowała swoją córkę wywiezioną z powstania, a przebywającą w Niemczech, oraz nawiązała kontakt z ojcem, który z grupą więźniów oswobodzonych z Bergen-Belsen został przewieziony w połowie maja 1945 roku do Paryża (znalazłam opis tego faktu w pamiętnikach ambasadora Kajetana Morawskiego). Seweryn Czetwertyński jak na swoje przejścia i wiek był mimo niewątpliwego osłabienia nad podziw samodzielny.

Podobno współwięźniowie wstrząśnięci przyjazdem do obozu tego skutego starca, cieszącego się nieposzlakowaną opinią znanego męża stanu, uczynili sobie z niego symbol, symbol przeżycia. Oni dbali o jego fizyczne przetrzymanie, a on dodawał im siły ducha. W Paryżu po przyjeździe zdołał zorganizować jakieś zebranie, na którym nawoływał młodzież całej Europy, łącznie z niemiecką, do jednoczenia się dla wspólnego jej odbudowania. Nie wiem, w jakim gronie było to zebranie, ale wiem, że był na nim Józef Czapski, malarz i autor książki *Na nieludzkiej ziemi*. Od niego o tym fragmencie życia dziada Seweryna się dowiedziałam.

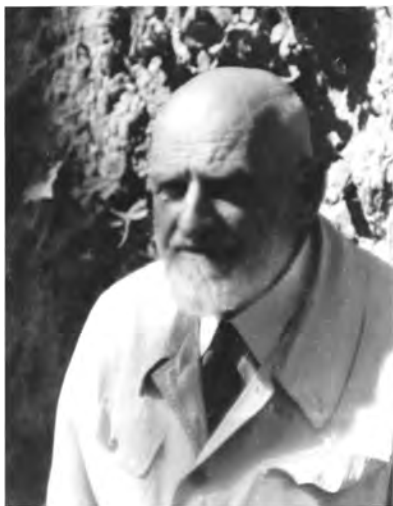
Jak to wszystko się ma do oswobodzonej więźniarki Marii Grocholskiej? Otóż, kiedy ustaliła spotkanie z ojcem, zaraz po złączeniu się z córką na terenie owego belgijskiego obozu, przeżyła wstrząs. Zupełnie nagle w momencie jakichś codziennych czynności, nieznaną jej, prostacko wyglądająca, starsza kobieta, krzyknęła wskazując na nią palcem „kapo”. W rodzinnym domu w Suchowoli, wszystkie siostry Czetwertyńskie,

wychowane przez ukochaną Fräulein mówiły biegle po niemiecku. Bezpośrednio przed oswobodzeniem, kiedy zaczęła się łamać dyscyplina obozowa, należało pomóc współwięźniarkom. Ich nie zawsze mądre poczynania w połączeniu ze sprzecznymi rozkazami jeszcze działającego niemieckiego dozoru były nieraz samobójcze. Były żołnierz AK, mająca zdecydowane zdolności przywódcze pomogła i przeprowadziła współtowarzyszki różnych nacji przez ten trudny moment. Teraz doczekała się dziwnego oskarżenia, które mimo sprzeciwu i poręczeń wielu znacznie bardziej wiarygodnych świadków niż owa dziwna postać oskarżycielki, nie przekonało decydentki, bo jak nazwać jedną osobę, która przesądza w takiej sprawie i zarządza natychmiastowe opuszczenie tego azylu przez doświadczoną przez los więźniarkę. Zanim moja ciotka znalazła sobie jakieś wyjście, jakieś materialne zabezpieczenie upłynęło parę dni. Opowiadała mi, że niezwykle jej pomogły dwie współtowarzyszki, które na znak protestu i solidarności opuściły ten „punkt opieki” razem z nią.

W tym czasie straciła kontakt z ojcem, kiedy go nawiązała okazało się, że Seweryna Czetwertyńskiego przewieziono do szpitala polskiego do Edynburga. Akurat w Brukseli przebywał doktor Janta-Półczyński, jeden z naczelnych lekarzy polskiego szpitala, który zapewnił ciotkę, że może być spokojna, że przecież chodzi tylko o rekonwalescencję po obozie, a gdyby nawet coś wynikło to zostanie powiadomiona, przyjedzie i tym podobne zapewnienia. Tymczasem w ciągu najbliższych dni dostała powiadomienie o śmierci i pogrzebie. Kiedy dojechała na pogrzeb, w szpitalu niewie-

le chciano jej powiedzieć, zwalając winę na niedopatrznie pielęgniarek po zabiegu, choć byli i tacy, którzy twierdzili, że żadnego zabiegu nie było. Cała ta sprawa do końca życia ją męczyła. Swoje rozterki, które głośno wypowiadała w Belgii, bezpośrednio po tych zdarzeniach, przed nieletnią, ale uważną słuchaczką, powtórzyła jeszcze raz przed dorosłą już kobietą. Mało tego, kazała je zapisać, mówiąc „teraz jestem spokojna”, spokojna o co?... przemyślałam te jej słowa — chodziło o zachowanie pamięci, PAMIĘCI MĘCZENSTWA!

Seweryn Czetwertyński przeszedł przez Oświęcim, więzienie na zamku lubelskim, obóz w Bergen–Belsen. Zmarł samotnie w szpitalu polskim w Edynburgu w parę



Seweryn Czetwertyński,
zdjęcie z początku okupacji

tygodni po wyzwoleniu, nie zobaczywszy nikogo z uratowanej licznej rodziny, czy musiało tak być?

Tymczasem skończyłam czternaście lat i weszłam w dość samodzielne piętnastolecie. Maryńcia została już po pierwszym roku nauki we Francji i przekonywała rodzinę, by i mnie wynaleźć szkołę w tym kraju. Nauka zaczęła mi iść zupełnie gładko, zaczęłam mieć nawet sukcesy, pamiętam moją dumę, gdy osiągnęłam z historii największą liczbę punktów w klasie, przyknięto tylko oko na moją ortografię.

Pierwsze międzyszkolne wakacje spędziłam z Maryńcią znowu w Montrésor, a ostatnie dwa tygodnie u kuzynki naszego Ojca Dolly Ledóchowskiej, naszej sąsiadki z Derażnego. Jej mąż wywieziony z rodzinnej Smordwy nad Horyniem, zaraz po wejściu Sowieców, zaginął bez wieści. Ona nigdy nie uwierzyła w jego śmierć i podniecana stałą nadzieją czyniła bezskuteczne poszukiwania przez wszystkie możliwe instytucje. Matka cioci Dolly była Amerykanką, żoną polskiego dyplomaty Aleksandra Orłowskiego. Ich gościnny dom znajdował się koło Fontainebleau. Nasza Babka zwiedzała z nami okolice i wspaniałą pałac w Fontainebleau, wstawiony apartamentami i pamiątkami po Napoleonie. Kiedy w sali tronowej oprowadzający powiedział, że niestety wiszący na ścianie naturalnej wielkości portret Napoleona jest tylko kopia sławnego obrazu Gerarda, nasza Babka powiedziała głośno, „tak, oryginał spalił się w moim domu w Warszawie w czasie powstania warszawskiego”. Wszystkie oczy zwróciły się na nas z ciekawością i niedowierzaniem. Pamiętam, że poczułam się raczej speszona tym zainteresowaniem,

nie rozumiałam przeżycia tej małej stojącej koło mnie staruszki opartej na swojej odwiecznej drewnianej lasce, zakończonej głową kolorowego bażanta. Była skromna, bardzo religijna, ksiądz Kozięja nazwał ją w swoich wspomnieniach wielką demokratką. Obraz przywołał po prostu dawne wspomnienia, gdy jej dom na Krakowskim Przedmieściu 15 był jednym z najświetniejszych przed wojną w Warszawie, a bywali w nim ciekawi i światli ludzie na tzw. *jours ouverts*, czyli okresowych przyjęciach.



Portret Napoleona pędzla Gerarda w pałacu Józefa Potockiego w Warszawie, spalony w czasie powstania warszawskiego

Zapamiętałam Fontainebleau również z powodu fryzjera. Obie z siostrą nosiłyśmy warkocze, moje sięgające poniżej pasa, były w internatowej szkole kłopotliwe. Nie dostałam niestety pozwolenia od babki na ich

obcięcie, a właśnie w czasie pobytu u Dolly Ledóchow-
skiej, a był to 1947 rok, ktoś wyczytał w gazecie ogło-
szenie o modzie i cenach za naturalne peruki. Mimo że
miałam cudowne wakacje i miałam się w co ubrać, bra-
kowało mi wielu szkolnych rzeczy i postanowiłam temu
zaradzić sprzedając włosy i właśnie obciąłam je w Fon-
tainebleau, a sprzedalam w Paryżu u wziętego fryzjera, do
którego zaprowadziła mnie Ciocia Dolly. Tym razem
moja Babka się nie sprzeciwiła, ale Maryńcia, mimo
że starsza, nie dostała wtedy pozwolenia. Nawet pa-
miętam, co kupiłam za te pierwsze własne pieniądze.
Wieczne pióro, szlafrok i mszał — wspaniały benedyk-
tyński mszał. Miało go wiele moich koleżanek, ale chyba
nie to było powodem marzenia o mszale. Takie msza-
ły miały moja Babka, Mama i inne szacowne krewne,
a mszały były pełne cudownych pamiątek od dziecka



Z Maryńcią w Fontainebleau, jeszcze z warkoczami

oglądanych w czasie nabożeństw w kościele: pośmierne obrazki przodków, pamiątkowe obrazki z chrztów i pierwszych komunii, specjalne modlitwy na żółtych karteczkach, a nawet przepowiednie. W mszale Mamy była kartka z wierszem Słowackiego o słowiańskim papieżu. Ja już też miałam swoje pamiątki do włożenia do mszału np. obrazki święte z inwokacjami od lubianych koleżanek czy fotografie tych, za którymi się tęskniło. Mszały w różnych językach były drukowane właśnie w Belgii w Opactwie Benedyktynskim Świętego Andrzeja w Bruges.

Intencją rodziny, a zwłaszcza naszej Babki było, byśmy z Marynią ukończyły rozpoczęte zagranicą szkoły i w każdym razie do tego czasu pozostały na Zachodzie.

Myśl o domu, Mamie, rodzeństwie mnie nie opuszczała, podobno napisałam do mojej Babki, że pójdę na piechotę do Polski. Widocznie uznano, że to możliwe i dostałam przyzwolenie nie tyle na powrót, co wakacje w kraju. Sprawa okazała się skomplikowana, z uwagi na potrzebę nowego paszportu z możliwością powrotu do Belgii. Musiałam czekać, a tu wakacje się kończyły, spędziłam je w różnym domku w Ardenach, towarzysząc w pracy i poczynaniach siostrze Mamy, Marii-Józefie Grocholskiej. Jak wiele innych spraw docenianych po czasie, tak i te uciekające wakacje spędzone z wyjątkową osobą, jaką była siostra naszej Mamy stworzyły z czasem wiele odnośników, a nawet wzorców postaw, do których wracałam. W tej ładnej okolicy południowej Belgii mieli majątek ziemski rodzice jednej z moich koleżanek z drugiej nieco snobistycznej szkoły. Widywałam ją, jej ojca i zapraszane koleżanki.



Ślub Maryñci Potockiej w Monméliant
we Francji. Od lewej Józef Potocki, Maryñcia,
Alik Kozieñł–Poklewski, z tyłu ambasador
Kajetan Morawski, 1950 rok

Z moją Ciotką chodziłyśmy czasem, naturalnie na piechotę, na targ do Havelange, najbliższej położonego miasteczka. Żona Jerzego Czetwertyńskiego oczekiwała dziecka, obawiano się o jej zdrowie z uwagi na zagrożone płuca. Ciocia uznała, że najlepszym i najtańszym lekarstwem będzie kozie mleko. I tak na targu w Havelange zakupiła kozę, którą na sznurze trzeba było tych parę kilometrów przeprowadzić do naszej siedziby. W powrotnej drodze zaczęłam pozostawać w tyle coraz to



Marjózia Grocholska na tle domu gościnnego barona



Różany domek w St. Fontaine w Ardenach



Mieszkańcy różanego domku. Jerzy Czetwertyński z rodziną i Marjózia Grocholska z córką i siostrzeńcami

zwiększając dystans od nieszczęsnej kozy. Myśl napotkania Faisant, jakieś takie angielsko brzmiące imię nosiła moja koleżanka, paraliżowała mnie. Do dziś pamiętam, jak na wesoło, a równocześnie skutecznie, Ciotka wyśmiała ten mój egotyzm. Już w połowie drogi z kozą na sznurze szłam dumnie do przodu, drwiąc na cały świat.

Znów w kraju

Wyjechałam dopiero w drugiej połowie sierpnia 1948 roku niezwykle czasochłonnym transportem, a mianowicie polskim statkiem handlowym o nazwie „Olsztyn”. Był to najtańszy i najłatwiejszy sposób wyjazdu z Bel-

gii, zapewniający mi opiekę, opiekę kapitańską. W sumie byliśmy w rejsie trzy dni plus dzień załadunku w Antwerpii i dzień dobiecia do portu w Gdyni. Pamiętam, że wy płynęliśmy z opóźnieniem, bo u wybrzeży Belgii była mgła jak wata, rzadkie zjawisko o tej porze roku, było to komentowane w mesie oficerskiej, gdzie jadałam posiłki.

Na tym handlowym statku były dwie kabiny pasażerskie, jedną zajmowały dwie starsze panie, jedna aż z Australii. Ja miałam przywilej posiadania własnej kajuty i psa, co prawda nie mojego, ale okrętowego jamnika. W którymś momencie naszej podróży, zastałam go wylazącego z jakiegoś luku na węgiel w fatalnym stanie umorusania. Gdzieś przy pokładzie były przysniece, postanowiłam bidulę wykąpać i niestety oparzyłam go nieopatrznie. Pamiętam mój i jego dramat, jego był oczywisty, mój nie mniejszy, bo mój przemiły kompan zaczął uciekać na mój widok.

Na nadbrzeżu w Gdyni czekała na mnie moja siostra Neta, było to cudowne spotkanie, po przeszło dwu i półrocznym niewidzeniu, i wiele do opowiadania. Byłyśmy od dzieciństwa nierozłączne, bo prawie w jednym wieku. Jak to siostry, nie zawsze byłyśmy zgodne, ale stojące za sobą murem, Neta była przywódczynią. Po jakimś czasie, zwłaszcza później w szkole, gdy znalazłyśmy się w jednej klasie, stwierdziłam, że jednak rozłąka, a przede wszystkim ten okres tak różnych przeżyć w jakiś sposób i na jakiś czas nas rozdzielił. Różne doświadczenia, różne drogi często schodzą się po czasie.

Po spotkaniu w Gdyni dojechałyśmy wspólnie do Warszawy, znowu szokujące wrażenia, zwłaszcza po

przebywaniu w dużych zachowanych i prosperujących miastach jak Bruksela. Powrót do domu był jakiś niełatwy, Ojca nie widziałam dziewięć lat, wszystko było takie inne.

Nasi rodzice zamieszkali po powrocie Ojca z Rumunii, który nastąpił w połowie 1946 roku, w wynajętych dwóch pokojach z kuchnią w Konstancinie, próbując jakoś się odnaleźć i zorganizować w nowej dla nich rzeczywistości. Nie było to dla nich łatwe, zważywszy że znaleźli się w punkcie zerowym w wieku, kiedy człowiek powinien zacząć zbierać, a nie zasiewać od nowa, a jeszcze, żeby było gdzie i jak.

Wróć jeszcze do 1946 roku, do momentu powrotu naszego Ojca, o czym Mama dowiedziała się w parę tygodni po naszym wyjeździe z siostrą na Zachód. Od jego mobilizacji w 1939 roku minęło siedem lat, okupację spędził w Rumunii. Po wejściu wojsk sowieckich do tego kraju dla przebywających tam Polaków, zwłaszcza byłych wojskowych, nastąpił moment trudnego wyboru — próbować się wydostać na Zachód, czy wracać do kraju, co proponowały sowieckie władze wojskowe. Na powrót do Polski trzeba się było zapisać, ale z terminem transportu zupełnie niewiadomym. Naturalnie po doświadczeniach lat poprzednich, przed ujawnianiem się ostrzegano, zakładając, że jest to sposób na wylapywanie. W najtrudniejszej sytuacji znaleźli się Polacy, byli wojskowi czy akowcy, którzy od niedawna przebywali w Rumunii, przekroczywszy granicę nielegalnie w nadziei przedostania się dalej. Byli oni autentycznie zagrożeni w Polsce, ale ich bezpieczeństwo w Rumunii było tym bardziej ułudne. Nasz ojciec,

który z racji angielskich szkół i braci w dyplomacji miał dostęp do najbardziej liczących się ambasad, czyli angielskiej i amerykańskiej, póki one jeszcze trwały, był nieraz pośrednikiem w różnych potrzebach współtowarzyszy. Polacy nie mieli żadnych praw w Rumunii, nawet przemieszczania się — byli przecież internowani.

Na początku 1945 roku, już po wkroczenia Armii Czerwonej, przedostał się do Rumunii i odnalazł naszego Ojca w Bukareszcie Andrzej Sapieha z Żurawna, dowódca okręgu AK Małopolski wschodniej, brat Leona z Krasiczyna; był z grupą towarzyszy, chcieli przedostać się na Zachód, pytali o możliwości. Możliwości w momencie zajęcia tego kraju przez Sowieców były żadne, a najgorszą była wybrana przez zainteresowanych, a mianowicie morzem do Turcji. Drogo opłacane przewozy przez Morze Czarne były agendą komunistyczną, nieszczęsnych amatorów tego przewozu ograbiano i mordowano. Nasz Ojciec odwoził Andrzeja od tego ryzyka, nie znał jego decyzji, ale zważywszy zaginięcie tegoż z towarzyszami przyjął jedyną nasuwającą się wersję, że zaryzykowali, cóż im pozostało? Piszę o tym, bo był to wspaniały zagończyk, bohaterski akowiec. W Łańcucie spotykaliśmy i jego, i jego brata Leona, dobrze pamiętam ich wysokie sylwetki. Obaj zginęli! Leona ostrzeżono, wyjechał z Krasiczyna, którego był właścicielem do przyjaciół pod Dębicę, tam w ogrodzie dosięgła go podobno „zbląkana” kula. Był październik 1944 roku, od przejścia frontu minęły cztery miesiące, nie było strzelaniny, a nawet liści na drzewach, by usprawiedliwić zbląkanie kuli. Jego żona wyjechała akurat do Krzeszowic, skąd pochodziła, o nie-

szczęściu dano znać naszej Mamie, dojechała do szpitala do Rzeszowa i zdążyła Leona pożegnać. Wieczorem modliliśmy się za jego duszę, Mama była wstrząśnięta... miało być inaczej, to nie 39 rok!

Czy fakt przynależności klasowej był zagrożeniem? tak, jeśli się było człowiekiem wpływowym czy aktywnym w organizacjach narodowych, a pewnie i inne czynniki decydowały...

Czy nasz Ojciec zgłaszając się do władz sowieckich w Rumunii ryzykował? Na razie mniej niż w Polsce, były jakieś układy, by Polaków z emigracji 1939 roku odstawić do Polski, takie chodziły słuchy. Nazwisko, pochodzenie w Rumunii nie grały roli, może stopień wojskowy, ten nie był znaczący, Ojciec był zmobilizowanym rezerwistą, w randze rotmistrza. Kiedy wreszcie długo oczekiwany transport wyruszył, skierowano go na wschód, uczestnicy wcale nie byli pewni czy z tej drogi zawrócą, czy też jest to manewr, z uwagi na zniszczenie torowisk. Nikt ich nie informował i nikt się nie dopytywał, co by to dało. Ojciec opowiadał, że z dużym zainteresowaniem oglądał dobrze mu znany krajobraz ziem wschodnich, był co prawda wołyniakiem, ale znał różne rejony Ukrainy. Stwierdził, że cofanie się Rzeczypospolitej z różnych okresów był w stanie rozpoznać, będąc rolnikiem i leśnikiem, po stanie upraw, zadrzewieniu i sposobie budowania.

W wagonie, naturalnie towarowym, zgrupowało się paru znajomych, wojskowy kapelan ks. Humpola — późniejszy proboszcz w Szaflarach, dwóch byłych ziemian, jeden z matką staruszką i przyhołubiony przez tę grupę młody chłopak, warszawiak, trochę typu war-

szawski „urwis”, który w wieku lat szesnastu z początkiem okupacji przedostał się do Rumunii i tam już pozostał. Po wejściu Rosjan w 1944 roku utrzymywał się handlując, nauczył się obu języków, rumuńskiego i rosyjskiego i nieco psychologii. Kiedy transport zawrócił i zaczął się przybliżać do kraju, nastrój w wagonie zrobił się weselszy, wszyscy odetchnęli, zrobili się rozmowniejsi i czy to z dawnego przyzwyczajenia, czy nawet radosnej przekory, zwracając się do Ojca tytułowali go. Ktoś doniósł to wierchuszce dobrze obstawionego pociągu. Na kolejnym postoju zjawił się odpowiedzialny za transport oficer w asyście dwóch uzbrojonych podkomendnych, intencje były niedwuznaczne. Chwała Bogu, nasz Ojciec akurat gdzieś się oddalił, a bardzo przytomny młody człowiek na wykrzyknik „gdzie ten graf? brać go!” — odpowiedział spokojnie „kakij on graf, eto takaja kliczka”. Po chwili przerażenia, odprężenie towarzyszy podróży było tak duże, że wybuchnęli szczerym śmiechem. Oficer poczuł się na tyle wyglupiony, że dał po głowie któremuś z żołnierzy, tym bardziej że nadeszły w tym momencie Ojciec, nieogolony, pewnie brudny i źle ubrany raczej potwierdzał opinię warszawiaka. W swoich opowiadaniach Ojciec zawsze podkreślał przytomność umysłu owego młodego człowieka, którego refleks uratował mu życie, bo ciąg dalszy był nietrudny do przewidzenia. Wniosek z tej historii jest oczywisty... do Polski bez ryzyka mógł wrócić każdy żul.

Te i inne przeżycia i nastroje, wobec wyraźnie zaciskającego się kursu po 1948 roku — wiele osób z rodziny dalszej i bliższej zostało aresztowanych — sprawiły, że Rodzice uznali dalszy pobyt na obrzeżach

zrujnowanej stolicy, gdzie osiedli, za trudny, czy wręcz niemożliwy i przenieśli się do Krakowa. Kraków pękał w szwach, tylu różnych powyrzucanych i przyjezdnych szukało w nim schronienia. Ojciec znalazł jakiś punkt zaczepienia przy likwidacji przedwojennej spółki, w której miał udziały. W domu należącym do spółki uzyskaliśmy cudem jeden pokój. Pokój nie miał ogrzewania, o łazience czy choćby wodzie nie było co marzyć, chodziło się po nią długimi korytarzami. Pokój nie miał bezpośredniego wyjścia, przechodziło się przez biuro, którego różnorodne godziny zasiedlenia dobrze pamiętam, czasem byliśmy wręcz odcięci.



Z Mamą na Sławkowskiej, początek lat pięćdziesiątych,
lata studenckie

My dzieci zamieszkiwaliśmy tam okresowo w zależności od pobytów w szkole internatowej, czy po prostu wy-



Mimo trudnych czasów ciekawe spotkania, Roman Potocki z pisarzem angielskim Grahamem Greenem u konsulów francuskich w Krakowie, państwo Alainowie Peyrefitte, rok 1954 lub 1955

lotów z domu, bo ten jeden dziwny pokój stał się domem. Domem do którego się wraca i który się wspomina. Nie do wiary, ale nasi Rodzice spędzili w nim najdłuższy okres swojego wspólnego życia, ponad ćwierć wieku.

Ten dość nietypowy dom, bo dawny hotel, o szumnej nazwie „Hotel Saski”, a kiedyś największa w śródmieściu Krakowa zajezdna gospoda, ze stajniami, wjazdem i wyjazdem dla powozów, przebudowanymi z początkiem wieku na potrzeby kina; od ulicy św. Jana było kino „Apollo”, a od św. Tomasza kino „Sztuka” — sporo niezłych filmów obejrzałyśmy tam z siostrą. Dom miał jeszcze atmosferę i rekwizyty hotelu — stary portier Wojciech przesiadywał przy wejściu, choć już dawno był na emeryturze, a hotel nie istniał. W holu były

lustrzane ściany i resztki aksamitnych bordowych kolar, na prawo od wejścia był fryzjer, a na lewo trafiką z papierosami, gazetami itp. Nie wiem, kto wpadł na szatański pomysł, by ową trafikę zamienić na bar kapuściano–śledziowy. Wiem i pamiętam natomiast efekty tej decyzji dla lokatorów. W holu stały beczki ze śledziami, kapustą i odpadkami, był hałas, brzęk naczyń i zupełnie surrealistyczny widok podwójnego odbicia w lustrzanych ścianach tej całej scenerii, z udrapowanymi wiszącymi jeszcze portierami; ale najgorszy był zapach — mieszanina zapachów fryzjerskich z barowymi niesiona klatką schodową jako jedynym wentylatorem sprawiała, że odliczałam schody biegiem na jednym wdechu. Podziwiałam naszych Rodziców, humor i zupełnie pogodzenie z rzeczywistością Ojca oraz niewątpliwe samozaparcie Mamy, bardzo trudne, które tym bardziej podziwiałam. Dużo ludzi ich odwiedzało, Mama urządziła dla nas tradycyjne Świąta. Po latach moja córka na opowieść o warunkach na ulicy Sławkowskiej, bo od tej ulicy było wejście do owego domiszcza, zdziwiła się szczerze mówiąc „przecież Oni mieszkali w pałacu” — takie jej zostało wspomnienie po spędzeniu uroczystości czterdziestolecia ślubu Dziadków. Jednak o wszystkim decydują ludzie, to oni nadają ton czy wagę, ściany są jakie są, może jedynie parę portretów i parę pamiątek dodaje im rangi.

To pokolenie, które Polskę wywalczyło, zwłaszcza to wschodnie, które nieraz wszystko traciło, widziało przede wszystkim POLSKĘ! Mimo zupełnego rozbrajania z komuną, naszego Ojca szczerze, powiedziałabym po gospodarsku, interesowała każda inwestycja, odbu-

dowa czy ludzki postęp. Ile razy wracałam ze szkoły czy głodnawych wakacji, zawsze musiałam zdawać relacje, co widziałam, co się buduje, co się zmieniło, no i czy widziałam zwierzynę w lesie. To był ważny punkt, zważywszy, że nasz Ojciec był zamiłowanym i wykształconym leśnikiem i myśliwym. Dziś mamy większą wiedzę i więcej dokumentów do oceny całości półwiecza władzy komunistycznej w Polsce i w związku z tym mniej przyczynkarskich danych do optymizmu, ale ja i moja rodzina, i rzesze ludzi, które do Ojca przychodziły, czerpały właśnie z jego pozytywnego podejścia jakąś siłę, bo warunki nie były łatwe dla wielu. Ojciec zmarł w 1971 roku, nie dożywszy lat siedemdziesiątych i osiem-



Służewiec w 1939 roku Roman Potocki z bratem Józefem, jego żoną i gen. Bronisławem Regulskim



Roman Potocki, płk Tadeusz Falewicz i Roman Rogowski na torach Służewca, około 1960 roku

dziesiątych, lat panoszącego się cynizmu i narastającego sprzeciwu. Wyjście z tego zakłamanego systemu nie wyglądało wówczas ani tak prosto, ani w czasie tak blisko, jak się to ostatecznie wydarzyło.

Czy Alfred Potocki uratował czy zdradził Zamek w Łańcucie?

W bardzo niełatwej i niepewnej sytuacji lat pięćdziesiątych, wobec ciągłej podejrzliwości czy wygodnej prowokacji władz za wszelkie kontakty, czy też po prostu posiadanie rodziny zagranicą, wszelka z nią korespondencja i inne kontakty były niemożliwe. Matka, córka, bracia — od tych najbliższych było się zupełnie odciętym. A jednak wieści nadchodziły, jakimiś okrężnymi drogami dochodziły czasem listy, a nawet jakieś paczki z płaszczem czy swetrem dla brata czy Ojca. Oni nie mieli złudzeń, że żyjemy po dziadowsku, ale w Polsce, my że oni nie są szczęśliwi, że status uchodźcy nie jest łatwy i że starsi państwo z Łańcuta zaczynają mieć poważne kłopoty, nie tylko zdrowotne i do tego zupełnie nieprzewidziane.

Mianowicie przy ściąganiu do Szwajcarii rzeczy łańcuckich, transport zatrzymano na granicy ze względu na przepisy celne. Przypuszczalnie Alfred Potocki nie przewidział przeszkody natury administracyjnej, zaofiarowano mu grzecznościowo możliwość zdeponowania rzeczy w pustej rezydencji po szwajcarskiej stronie granicy i po prostu dość naiwnie z tego skorzystał. Sprawa nie była tajemnicą, podobno pisały o zatrzymaniu antyków polskiego hrabiego ówczesne miejscowe, kantonne gazety. Gazet nie czytałam, natomiast jakieś potwierdzenie tej sytuacji doszło do mnie inną drogą. W latach osiemdziesiątych, latach polskiego kryzysu po stanie wojennym, wielu ludzi różnego wieku i wykształcenia wyjeżdżało z kraju, bądź na stałe, bądź na

saksy. Jedną z nich była moja powinowata, Anna Jordan–Platerowa, matka trójki dorastających dzieci, pracująca w szkolnictwie. Na wakacyjnych saksach znalazła się w Biarritz, prowadząc dom wakacyjny zamożnej francusko–szwajcarskiej rodziny. Jeden z gości, czy też członków wypoczywającej rodziny zapytał ją, co jej mówi nazwisko Potocki, bo on to nazwisko dobrze zapamiętał i to z wczesno–młodzieńczych lat, gdy spędzał wakacje u swojej matki czy babki w rezydencji na granicy szwajcarskiej. Poniżej rezydencji przechodziły tory, a na jakiejś boczniccy stały na platformach skrzynie z widocznymi meblami. Stały tam więcej niż jeden sezon, a on ten widok nie tylko zapamiętał, ale zapamiętał również nazwisko Potocki, ponieważ rozprawiano, że rzeczy należą do polskiego hrabiego o tym nazwisku.

Rzeczy zatrzymano, nie tylko ze względów celnych. Po prasowym ujawnieniu incydentu założono na nie rodzaj sekwestru w wyniku sprawy, jaką przeciw Alfredowi Potockiemu wytoczył o zaległy dług, mieszkający w Paryżu, pan Vlasto, dobrze znany, uchodzący niemal za przyjaciela, niegdysiejszy właściciel kantoru czy małego banku w Salonikach. Rzeczywiście taki dług, do wojny spłacany wisiał na łańcucie. Powyższy dług miał się nijak do zatrzymanych rzeczy. Alfred był człowiekiem niezmiernie uczciwym i nie trzeba było zatrzymywać rzeczy, by doszło do rozliczenia. W powojennych latach, gdy antyki „walały się po ulicach”, a rynek na nie nie był ustanowiony, wszelkie odbieranie rzeczy w obiektach artystycznych, a dla rodziny historycznych było nierozliczalne. Sądząc z listów Jerzego Potockiego założono, że sprzedaż obrazów osiemnastowiecznego zna-

nego malarza Bouchera zaspokoił żądania wierzyciela. W tamtych czasach sprzedaż, opłacalna sprzedaż, obiektów artystycznych nawet wysokiej rangi nie była prosta, a ekspertyzy drogie; podobno zakwestionowano autentyczność obrazów. Nastąpiła rozbieżność pomiędzy wymaganiami wierzyciela a stanowiskiem dłużnika, chodziło o rozbieżność w ocenie czasu dokonywanych spłat, według Alfreda spłacanych do 1940 roku, na co nie niestety nie miał potwierdzeń. Mając złe wspomnienie z procesu paryskiego w 1926 roku, gdy ugodowość i odraczenie procesu pozbawiło go znacznej części należnego mu spadku, tym razem Alfred postanowił walczyć. Szwajcarię uważał za kraj prawa, a przyjął, że spotyka go bezprawie. Jerzy Potocki zarówno prawników, jak antykwariuszy skwitował mianem krążących nad ofiarą sępów. Niestety Alfred Potocki był w sytuacji uchodźcy, czyli dość bezbronnej ofiary. Być może obecność i pomoc Izy Sidney, o której rękę Alfred Potocki się w tym czasie starał, dodała mu pewności siebie. Prawie jednocześnie z nieoczekiwanym pozwem odeszły dwie najbliższe mu osoby, Matka i Szymek, nierozłączny służący, ostatnia więź z Łańcutem.

Kim była Iza Sidney? Spotkaną w Lausanne Amerykanką polskiego pochodzenia, około pięćdziesięcioletnią wdową. Ona a zwłaszcza jej matka, pani Jodko–Narkiewicz były bliskie Alfredowi przez polskość, a Iza przez zdecydowany i silny charakter. Ta różnica temperamentów go pociągała i tego potrzebował. Na pewno nie bez znaczenia był fakt, że Iza była majątna i miała za sobą oparcie najbardziej liczącej się potęgi światowej, USA, natomiast Alfred miał pozycję i to europejską oraz balast kłopotliwego posiadania, ale żadnego

oparcia i zupełny brak kapitału. W tym samym momencie, co wszystkie wymienione kłopoty i nieszczęścia, Iza dała Alfredowi zdecydowanego kosza, stwarzając mu uprzednio nadzieje, a nawet pomagając w rozwiązywaniu trudnej sytuacji, w jakiej się znalazł. Nagła samotność, zawód i niespodziewany atak przyprawiły Alfreda Potockiego o zapaść zdrowotną, z której się nigdy nie podniósł i w wyniku której nastąpiła postępująca choroba Parkinsona, która w stosunkowo krótkim, bo około siedmioletnim okresie strawiła jego organizm. Mówiono o Alfredzie, że nigdy nie chorował, sypiał w nie ogrzewanym pokoju i nigdy się nie przeziębiał. Ale każdy wrażliwy i czujący człowiek ma określoną granicę wytrzymałości na to, co dziś nazywa się stresami. Mimo niemalże luksusowych warunków, Alfred Potocki przeżywał je od chwili opuszczenia Łańcuta. Te warunki były wygnańcze i hotelowe, a strata własnego domu zwłaszcza na stare lata jest ciężka, czy traci się chałupę czy pałac.

Czy piszę o tym żeby się nad nim litować? — zupełnie nie! Jedyne, co chciałabym udowodnić, to to, że na oszczerczą kampanię i to utrwaloną na piśmie dla pokoleń zupełnie nie zasłużył, po prostu znalazł się na przecięciu wypadkowych historii, które od niego wymagały takich a nie innych poczynań. Ilu ludzi nieszczęścia wojenne nobilitowały do miana bohatera czy męczennika, jeśli znaleźli się we wspólnej mogile czy wspólnym czynie, októrym pisano. W życiu mogli być nawet draniami — o to już nikt nie pyta, jedna chwila zadecydowała o panteonie.

Wracając do Alfreda, to przypuszczam, że gdyby nie wojna, nigdy nie miałby okazji sprawdzić czy udowod-

nić wielu pozytywnych cech, odwagi, odpowiedzialności, a przede wszystkim zdolności podejmowania trudnych decyzji i ich realizacji. Przypuszczam, że właśnie decyzja czynu była dla niego trudniejsza, niż zniesienie nawet trudnej czy niebezpiecznej sytuacji.

Wracając do przedmiotu owej trudnej decyzji czyli wywozu 100 pak (wersja z listu Józefa Potockiego z Madrytu w liście z 3 sierpnia 1945 roku do Elżbiety Potockiej, matki Alfreda), o różnych jak napisałam gabarytach, wypełnionych wartościowymi obiektami, to stały się one przedmiotem pożądania różnych ludzi i w różny sposób były wyluskiwane. Pewna ich część została sprzedana z konieczności nie tylko życiowej, ale i na pokrycie kosztów procesowych, bo takich było trzy, czego Alfred nie mógł przewidzieć w najczarniejszym scenariuszu.

Pierwszy proces dotyczył zatrzymania łańcuckich rzeczy przez Vlastę, owego właściciela kantoru z Salonik i zajęcie rzeczy po przegranym procesie, według uznania. Niestety Vlasto związał losy nieszczęsnego weksla z dużo możniejszym bankiem, a mianowicie portugalskim bankiem de Spirito Santo z Lizbony. Ów bank nigdy nie miał żadnych kontaktów z Łańcutem. Pomówienie Alfred o sprzedaż portretów rodzinnych, o książki z ekslibrisami tulczyńskimi walające się po wystawach antykwariatów lizbońskich, są bezpodstawne na to Alfred wpływu nie miał — rzeczy zajęto. Nadesłany mu list po przegranym procesie, na którego kosztą, nie mówiąc o odsetkach z lat wojennych i powojennych, został dodatkowo zasądzony, dowodzi pewnego cynizmu ludzi, którzy mu niezłe dobra wyluskali. Stary chory człowiek, nie mający wiele fizycznych,

a prawdę mówiąc i finansowych możliwości, może odebrać niewiele warte dla nowych właścicieli portrety rodzinne, ale w zamian dostarczyć obiekty, które by im bardziej odpowiadały. Do najwartościowszych rzeczy należących do łańcuckiej schedy, a zabranych Alfredowi należały srebra, rodowe srebra. Już bardzo chory i źle chodzący Alfred Potocki w towarzystwie dalekiego powinowatego znanego paryskiego adwokata Manolo de Andia dotarł na wystawę wspaniałych sreber portugalskich wystawionych w Paryżu i odnajdywał łańcuckie. (Wystawa w Musée des arts Decoratif, listopad 1954 do stycznia 1955 roku).



Na przełomie 1955/56 roku Stanisławowie Reyowie z Montresor (ona Maryńcia Potocka) zaprosili Alfreda Potockiego na stały pobyt do siebie. Nagła decyzja Izy Sidney zmieniła te plany

Na dwa lata przed śmiercią Alfreda w Europie zjawiła się Iza Sidney i tym razem zgodziła się poślubić starego chorego człowieka na wózku. Nie mam zamiaru osądzać, czy też doszukiwać się pobudek jej decyzji. Jak napisał w liście do naszego ojca pan Alik Poklewski o Izie Sidney „niezbadana jest psychologia białogłowy i jej najrozmaitsze reakcje”. Zyskała rodzinę, przyjaciół i jeszcze pewne splendory czy ciekawe manifestacje towarzyskie, które sobie ceniła, jak np. uczestnictwo, w roli liczącej się krewnej, w uroczystości ślubnej następcy tronu księstwa Lichtenstein w 1967 roku. Doniosła o tym, łącznie ze szczegółami, Józefowi Potockiemu z Madrytu.



Iza Sidney i Alfred Potocki po ślubie, rok 1956/57

Tłumaczenie listu adwokata Alfreda Potockiego do pana Espirito Santo Silva

Szanowny Panie,

Zawiadomiłem hrabiego Potockiego, którego właśnie widziałem, o pańskim pragnieniu otrzymania od niego pewnej liczby uszkodzonych talerzyków z Saskiego serwisu, którego większą część już Pan uzyskał. Hrabia oznajmił mi, że niestety, już ich nie posiada, nie może zatem Pana zadowolić.

Przy okazji hrabia Potocki poprosił o dostarczenie mu ugody z dnia 17 marca 1952 roku zaopatrzonej w pański podpis. Pozwolę sobie przypomnieć Panu, że do dziś Pan powyższej ugody nie przekazał.

Ugoda stwierdza, że portrety Ojca i Matki Hrabiego, jak również jego Dziadka i Pradziadka pozostają jego własnością i na to chce mieć potwierdzenie.

Hrabia wyraża również nadzieję, że zechce Pan zwrócić mu inne portrety rodzinne, na razie pozostające u Pana w Lizbonie, jak również korespondencje.

Hrabia nie wątpi, że przy najbliższej bytności w Lizbonie jego lub jego brata [Jerzego — przyp. tłum.] nastąpi ostateczna ugoda odnośnie rzeczy, które mają mu być zwrócone. Jeśli do tego dojdzie Hrabia jest gotów zrezygnować z sumy 1000 Fr. szwajcarskich, co do których upoważnił mnie, bym się o nie upomniał, jako należne mu za mały jedwabny perski dywan.

Wyrazy szacunku — podpis

F. Savary [adwokat Alfreda Potockiego — przyp. tłum.]

Niestety, jak to nieraz się zdarza przy nowych związkach rodzinnych, Iza weszła w konflikt z bratową. Sprawa rozpoczęła się o bardzo piękne perły niezującej teściowej. Ponieważ biżuteria została ukradziona, a jej resztki rozdane czy sprzedane, Iza została bez znaczącego prezentu na miarę rodu i zażądała od młodszej synowej, czyli żony Jerzego zwrotu pereł. Równocześnie podzielono, co jeszcze zostało do podziału z rzeczy ściśle rodzinnych. Było to wszystko niezmiernie przykre dla Alfreda, tym bardziej, że z racji swojej choroby był coraz bardziej wyłączony z tego, co się działo wokół niego. Trzeba przyznać, że Iza zapewniła mężowi opiekę lekarską i pielęgniarzką, zupełnie już nie chodził, choć stawiano go do fotografii. W La Roche, domu który Iza wynajęła czy posiadała gdzieś w górach na pograniczu Francji i Szwajcarii, przyjmował wielu przyjaciół. Dojechał tam i nasz Ojciec, który po 1956 roku dostał wreszcie paszport, by móc zobaczyć po siedemnastu latach rozłąki Matkę, córkę, braci i poznać własne wnuki. Nasz Ojciec mniej przejmował się losem łańcuckich rzeczy co łańcuckiego archiwum. Uważał, że ludzkość traci dobra materialne i je odrabia, jeżeli nad czymś bolał, to nad pochopną, żeby nie powiedzieć autorytarną decyzją Izy odnośnie do archiwum. Wywiezienie przez Izę archiwum, wielowiekowego archiwum Potockich do Nowego Jorku, bez zawiadomienia braci męża, bez jakiegokolwiek konsultacji, żeby nie powiedzieć po prostu zapytania, czy powiadomienia uważał za dziwne...

Również za dziwne uznał napisanie, a ściślej zamówienie napisania książki w imieniu męża, na podstawie

jego notatek czy też listów, różnych listów, nie tylko Alfreda. Alfred pamiętników nie pisał, pisał diariusz, a to co innego! Taka była moda w XIX wieku. Pamiętnik piszą ludzie z potrzeby, czy nawet pewnego talentu obserwacyjno–pisarskiego. Diariusz Alfred pisał od wczesnych lat, prawdopodobnie na polecenie Matki, która też to robiła. Wieczorna chwila skupienia i rzućcie na papier krótkiego sprawozdania, czy nawet mniej, paru uwag o przebiegu dnia, łącznie z pogodą. Myślę, że gdyby Alfred podyktował swoje wspomnienia lub choćby je autoryzował, książka byłaby zupełnie inna. Alfred przeżył wojnę i sporo konfrontacji z życiem po wojnie, to wyrabia. Był człowiekiem delikatnego sumienia i dużego wyczucia, choć orłem nie był, a wykształcenie miał raczej dyletanckie, typowe dla wielu ludzi z tej sfery. Dobre opanowanie języków i umiejętność mówienia o wszystkim.

To, co wypichcił w imieniu Alfreda jego *ghost–writer*, nie oddaje zupełnie osobowości właściciela Łańcuta. Nadto jest w tym pewna nieuczciwość. W książce jest sporo wiadomości fałszywych, np. ta o trzech rolls–royach, jak z opowieści o Liberatzu. Również przerysowania i niedomówienia banalizują bądź demonizują pewne sytuacje i kontakty, to wszystko jest jakieś nieprawdziwe. Książka nosi snobistyczny tytuł *Master of Łańcut* (Pan na Łańcucie), a napisana jest gorzej niż dyletancko, nawet jeśli chodzi o język angielski, którym wszyscy bracia Potoccy władali perfekcyjnie. W wersji francuskiej język jest poprawny. Pomieszczenie czysto pamięciowych zapisków Alfreda z wiadomościami z różnych listów plus niemal gazetowe komentarze odnośnie

do historii Polski czy jej sytuacji stwarza dziwnie nieprzekonywujący konglomerat. Nieprawdziwa jest również wersja o nie wymienionym w książce z nazwiska sprawcy pierwszego szwajcarskiego procesu Alfreda Potockiego. Był on właścicielem weksla potwierdzonego na ordynacji łańcuckiej, a nie udziałowcem w łańcuckiej wytwórni wódek i likierów.

Alfred Potocki zmarł w marcu 1958 roku; niedługo potem, bo w grudniu tegoż roku zmarła Helena Potocka, Matka naszego Ojca, powoli kontakty z tą generacją się kończyły... a nasza Babka Helena pisała niezmiernie ciekawe listy.

Zdawać by się mogło, że w ostatnich miesiącach swojego życia Alfred odnalazł oparcie i spokój, niestety jego ożenek z osobą w opinii polskiej emigracji majątną pobudził do działania następnego wierzyciela, tym razem z puli obdarowanych jeszcze testamentem Mikołaja Potockiego, czyli daru — pułapki. Uderzenie było ostre i wymagania w stosunku do niewielkiego legatu bardzo zawyżone odsetkami od lat niewypłacanych, czyli 1940–1957, lat wojennych i powojennych. Wysokość wymagań zadziwiła nawet francuskie organa sądowe, które je zredukowały do dopuszczalnych w takiej sytuacji we Francji. Zadziwiła również Izę, która się od całej sprawy początkowo odcięła, choć nie miała złudzeń, że to ożenek z nią był impulsem dla wszczęcia sprawy przez pana Dygata. Następnie bardzo lojalnie pomogła mężowi, a potem jego spadkobiercy, oddając im do dyspozycji swojego adwokata. Sprawa się ciągnęła, Alfred zmarł w marcu 1958 roku przed jej zakończeniem, wobec czego przeszła na jego spadko-

biercę, czyli Jerzego Potockiego. Ponieważ Jerzy Potocki żadnych funduszy nie posiadał, spłacanie sprawy Dygata obciążało połańcuckie posiadanie.

Jerzy Potocki od śmierci brata pozostał w Europie, zamieszkał w Szwajcarii. Od opuszczenia placówki ambasadorskiej w Waszyngtonie w 1940 roku przebywał z rodziną w Peru, kraju ojczystym swojej żony Suzanity. Do wojny, przez cały okres dwudziestu lat wolnej Polski, życie Jerzego było podporządkowane służbie ojczyźnie — wojsko, służba parlamentarna, a następnie dyplomatyczna. Kiedy nagle w Peru pozostał bezczynny, mając około pięćdziesiąt lat spróbował nowej dziedziny, gospodarczej — założył plantację herbaty. Przedsięwzięcie nie przyniosło dochodów, natomiast nadwreżyło mu zdrowie. Pokonywanie dużej różnicy poziomów pomiędzy Limą a znacznie niżej położoną plantacją, osłabiło niemłode już serce. Ostatnie trzy lata pobytu w Europie gdzie pozostał po śmierci brata przybliżyło Jerzego do kraju, za którym Jerzy niezmiernie tęsknił. Może zdanie, jakie przytoczę z jednego z listów Jerzego do brata Romana zabrzmiało banalnie, tak jak banalne bywają cytowane miłosne deklaracje, ale Polska była autentycznie wielką miłością tego człowieka. „Ty jesteś jedyny, który oddychasz swojskim powietrzem naszego kraju. My tylko żyjemy wspomnieniami i to nam serce przygniata”. List z 1956 roku, kiedy rozpoczęła się, może nie normalna, bo cenzurowana, ale normalniejsza korespondencja z krajem. W swoich ostatnich latach życia w Europie, świadomy bardzo złego stanu własnego zdrowia, Jerzy składał kolejne, odrzucane przez władze PRL, prośby o powrót

czy po prostu odwiedzenie kraju, taka *idée fixe* człowieka stojącego nad grobem.

Po 1956 roku kontakty z bliskimi stały się możliwe, listy choć cenzurowane dochodziły, ludzie zaczęli jeździć. Sytuację braci nasz Ojciec dobrze znał z listów, ich własnych opowiadań, a przede wszystkim relacji pana Alika Koziełł–Poklewskiego, wielkiego przyjaciela braci Potockich. Pan Alik był jednym z niewielu przyjaciół szczerze przejętych losem Alfreda, równocześnie uważał za swój przyjacielski obowiązek informować naszego ojca o stanie zdrowia, interesów i ogólnie losów Alfreda. Przy całym współczuciu nasze warunki życia były tak różne, odległe od problemów dotyczących posiadania, gdyż znaleźliśmy się na przeciwnym biegunie, a mianowicie: anty–posiadania. Nasz jeden pokój na sześć dorosłych osób uniemożliwiał posiadanie czegokolwiek poza niezbędnym minimum. Jedynie ściany ofiarowały nieco przestrzeni. Równocześnie, a może na przekór temu zacieśnieniu, z całym pietyzmem przechowywaliśmy listy, fotografie, wycinki, a przede wszystkim książki, zwłaszcza jeśli dotyczyły historii Polski w tym również historii rodziny. Wobec ponizania jednej i drugiej wzmogło się w nas poczucie honoru i ogólnie uznania dla przodków, nawet jeśli potrafiliśmy, zwłaszcza my młodzi, zdobywać się na nuty krytyczne. I tak właśnie dla tegoż honoru, mimo że — zdawałoby się — żyliśmy zupełnie poza orbitą spraw łańcuckich zostaliśmy, a konkretnie nasz Ojciec w nie wciągnięci. Okazało się, że fama łańcuckiego posiadania rozpalila wyobraźnię i krajowych amatorów łatwizny. W końcu podział łupów trwał i trwa. Nasza rodzima ubecja wydała

papiery na nazwisko Potocki panu X, a ten rozgłosił, że jest synem Alfreda z Łańcuta i rozpoczął prawne dochodzenia o uznanie ojcostwa i spuściznę.

Gdyby ów pretendent rozpoczął swoje dochodzenia za życia Alfreda wystarczyłoby jedno badanie, by sprawę przekreślić — dlatego odczekano do śmierci. Tego nasz Ojciec nie wytrzymał, te zakusy wchodziły na dobre imię brata. Nie mając pieniędzy na dobrego adwokata Ojciec zwrócił się do Izy o opłacenie kosztów procesu. Wdowa po Alfredzie przystała na swój udział finansowy, ale nie była stroną w procesie.

Proces był równie śmieszny co obrzydliwy, nie będąc na tych kartkach przytaczać szczegółów. Nawet poparcie właściwych czynników nie było w stanie przepchać tej więcej niż naciąganej wersji wydarzeń gwałtu dokonanego przed wielu laty. Dobrani bohaterowie nie nadawali się do przypisywanych im ról i wydumanej scenarii. Matka pięćdziesięcioletniego pretendenta, niezwykle prosta, niemal prymitywna osoba w sądzie zachowywała się jak anty-świadek i anty-ofiara, była z natury uczciwa i nie umiała wejść w narzuconą jej rolę. Jak napisałam, mimo poparcia, sąd naciąganą wersję odrzucił. Należało założyć drugą sprawę o odbiór przywłaszczonego nazwiska, czyli cudzego dobra i to bardzo osobistego dobra. Niestety ten etap nie został nawet rozpoczęty, *primo*, bo Iza przestała sprawę finansować, *secundo*, bo wiadomo było, że przy braku egzekucji praw, pretendent i jego synowie i tak z nazwiska nie zrezygnują. Ponadto nasz Ojciec miał tej całej sprawy dość, nie z powodu Alfreda, bo przecież w obronie jego opinii i nazwiska rękawicę podjął. Po prostu po-

ziom, świadkowie i ogólnie argumentacja, to było wejście w świat nieznanych mu dołów. Nasze życie, tak na wsi wołyńskiej, jak lubelskiej czy małopolskiej trwało w symbiozie z otoczeniem, ludźmi prostymi, ale pełnymi własnej filozofii, godności i honoru. Rodzice zachowali np. pakiet listów z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych od Rusinów, bo tak nazywaliśmy naszych północnych wołyniaków, pisanych często z dalekiej Rosji, głównie prośby o zaświadczenia do emerytur, ale z dopiskami pełnymi ciepła, życzliwości i szczerego zainteresowania.

Branie czy udzielanie przez władze nazwisk historycznych, które zresztą nosiło w Polsce cały szereg ludzi nie związanych z rodzinami „historycznymi”, ma swój długi rodowód. Jeśli chodzi o Potockich, to znanych uzurpatorów jest sporo, począwszy od Juliana Aleksandra Bałaszewicza, najlepszego agenta carskiej Rosji, rozpracowującego przez lata wielką polską emigrację, który wcielił się w Alberta Potockiego, żyjącego co najmniej jedno pokolenie przed nim i mającego karnację jasnego blondyna z niebieskimi oczyma. Bałaszewicz był brunetem o nieco wschodnim typie. Zaskakujące jest w tym wszystkim zaufanie, jakim darzyli znani działacze emigracji człowieka niesprawdzonego, a przecież łatwego do konfrontacji. Zastanawiające jest również, czy aktor, który w latach sześćdziesiątych przyjechał do Paryża w trupie wystawiającej *Parady* autorstwa Jana Potockiego, a któremu ubeckie władze nie tylko zezwoliły na pozostanie, ale jeszcze od ręki wystawiły paszport na nazwisko Potocki, miał podobne zadania co jego sławny prekursor. O Bałaszewiczu na-

pisano książkę, a jego raporty są na pewno przyczynkiem do studiów nad historią polskiej emigracji. Widocznie emigracja lat siedemdziesiątych nie dostarczała ciekawych tematów i pewnie nie była politycznie groźna, skoro działalność zarówno pretendenta do ojcostwa po Alfredzie jak i eks-aktora dotyczyła dotarcia do możliwości finansowych — co znaczy fama bogactwa. Ta fatamorgana niejednego zainspirowała.

W roku 1978 wystawiono na licytację obiekty łańcuckie należące do Suzanity Potockiej, żony Jerzego ambasadora, który zmarł w 1961 roku. Rzeczy były złożone w płatnym zabezpieczonym składzie, nie było ich wiele. Obrazy rodzinne, parę bibelotów itp. Suzanita, dziewięćdziesięcioletnia staruszka, mieszkająca ostatnie lata życia w Europie, nie zapłaciła czynszu, a może nawet z nim zalegała i rzeczy wystawiono na sprzedaż. Obrazy w większości udało się wykupić rodzinie. Tak się złożyło, że byłam w tym czasie w Paryżu, tuż po licytacji i poszłam obejrzeć niesprzedane obiekty. Były to komplety rzeczywiście pięknych przyborów toaletowych, kufry i walizy oraz sewrska miedzniczka z dzbankiem, dużej urody. Ta ostatnia pozycja powinna była obudzić jakieś moje sentymenty, ponieważ okazało się, że są to przybory sakralne do dokonywania chrztu. Jedyne co mi się skojarzyło, to niewygodna użytkownika dzbanuszka z uwagi na jego formę, miał długą bocianią nogę i był nieco duży jak na ten cel. Z ciekawości obeszłam różne sale galerii Druot, w niektórych odbywały się licytacje. Dosłyszawszy rozmowę po polsku zatrzymałam się w jednej z nich — licytowano medaliony, wśród których były i polskie nie tyle

w robocie co portretach na nich figurujących. Grupa młodych ludzi włączała się w licytacje tych pozycji i niestety mimo rozpaczliwego wysiłku wspólnego banku była przelicytowywana. Bardzo się wczułam w ich sytuację, szkoda, że nie mogłam nic dołożyć do ich składki.

Takie to są dzieje obiektów materialnych, zmieniają właścicieli przez spadki, sprzedaże czy darowizny, ale też kradzieże i wojny.

W rodzinie nie mamy wątpliwości, co do intencji Alfreda. Czy intencje są ważne — moim zdaniem bardzo i na pewno liczone w niebie. Różne, często nieprzewidziane bywają skutki naszych działań, ale działać trzeba, bo tylko działanie przynosi efekty. Sławetne przysłowie o brukowaniu piekła dotyczy chęci, a nie intencji, choć te dwie są mylone.

Alfred Potocki, wywożąc rzeczy, zadziałał logicznie, ale na pewno, mimo dwuznacznej sytuacji, jaką stwarzała pomoc Niemców, nie mógł przewidzieć ogromu oszczerstwa i skuteczności propagandy, opartej w dużej mierze na kłamstwach. Zainteresowanie tematem oraz ilość wypowiedzi i publikacji stawia Alfreda Potockiego w czołówce zainteresowania mediów wszystkich dekad PRL-u. Mniej jest w tym prawdy o Alfredzie, co o autorach rozpuszczanych opinii. Jednym ze zwrotów używanych przez niszczyteli opinii nieśczęsnego ordynata było określenie „nikczemnej pamięci Alfred Potocki” — to mocne, tego zawołania oszczędziliśmy nawet naszym oprawcom! („Świat” 14.02.1964; w publikacji, oprócz wyżej wymienionego zawołania, dołożono do wywózki kilkadziesiąt wago-

nów oraz dzieła mistrzów malarstwa, których w Łańcucie nie było). Dlaczego przyzwoitemu człowiekowi, który był dobrym Polakiem, szczerze religijnym człowiekiem, który już przed wojną miał swój wkład w różne pomoce ludzkie, a okres okupacji był stałym pasmem pomocy ludziom, odbierać dobre imię.

Dobre imię, to jakaś część naszej nieśmiertelności, ci co je szargają też coś biorą na siebie.

Wszystkie wspomnienia są subiektywnym obrazem rzeczywistości. Wspomnienia dziecka przeplatają się z zapamiętanymi opowieściami dorosłych. Wątek historii związanych z przeżyciami stryjów, a zwłaszcza Alfreda Potockiego znam z opowiadań Rodziców. Oboje byli trzeźwymi obserwatorami wydarzeń swojej epoki, dość oderwanymi od spraw materialnych, przedkładając nad nie zainteresowanie krajem. Bardzo ich za to podziwiałam. Ponadto wolni byli od wszelkich komerazy.

W sprawie Alfreda Potockiego istnieje dość przesłanek, by zrozumieć motywacje jego działania w 1944 roku odnośnie wywozu rzeczy, w tym łańcuckiego archiwum.

Powrót do Polski obu części archiwum łańcuckiego i tej wywiezionej przez Izę Sidney–Potocką do Nowego Jorku, pozostawionej w obsługującej ją kancelarii adwokackiej, która via Polski Instytut Narodowy w Nowym Yorku dotarła w 1995 roku do Archiwum Akt Dawnych w Warszawie, i tej przekazanej do tegoż Archiwum przez Brigham Young University w Provo w grudniu 2000 roku, to zamknięcie koła różnych ludzkich działań. Przypadki rządzą światem, a przypadkami Opatrzność. Łańcuch ludzi dobrej woli, który

doprowadził do powrotu tego skarbcza pamięci rodzinnej i narodowej do kraju wplata się w intencje Alfreda Potockiego, bo coraz więcej ludzi rozumie, że NIE WYWIEZIONE dokumenty byłyby stokroć bardziej narażone na utratę. A niestety straciliśmy wiele.

W 1981 roku na Konferencji Muzeów i Bibliotek Polskich na Zachodzie, wysłuchałam referatu o zagładzie tzw. Biblioteki z Honfleur. Był to zbiór książek i dokumentów, dzieło życia Władysława Czartoryskiego, wnuka Adama, generała ziem podolskich i Ludwika Filipa Orleańskiego. Ten zamilowany bibliofil, człowiek niezmiernie wykształcony i wielki patriota, zbierał przez całe swoje życie skarb dla kraju, w którego odzyskanie niepodległości niezmiernie wierzył. Zmarł w 1894 roku. Nabywane pozycje, często białe kruki były składowane w Honfleur, małym porcie u ujścia Sekwany dla ułatwienia ich przewozu, gdy nadejdzie odpowiednia chwila. Nadeszła! Wspaniały zbiór został w latach dwudziestych przekazany Uniwersytetowi Jana Kazimierza we Lwowie. Okupacja sowiecka lat 1939–1941 zniszczyła bezpowrotnie to dzieło! Cóż tu można więcej dodać?

Wszyscy czterej bardzo kochający się bracia Potoccy, już nie żyją. My, ich dzieci jesteśmy ostatnim pokoleniem, które jeszcze coś niecoś pamięta, nie tyle o tamtym życiu, ale o tamtych ludziach. Ludziach z innej epoki, ale dlaczego winnych? Czy to ciągle szukanie winnych nie jest sposobem na zdejmowanie odpowiedzialności z samych siebie?

Nasze życie w PRL-u ułożyło się tak jak życie całego pokolenia powojennego i to wcale nie „naszej”

sfery, jedni się wspinali, drudzy usiłowali nie dać się zepchnąć. Czy mam coś za złe losowi? — absolutnie nic. Zmaganie z życiem jest rzeczą potrzebną. Jedyne, co mam za złe to ten posiew kłamstwa, gorszy jeszcze dla tych, którzy nim się karmią.

SPIS ILUSTRACJI

Antoniny.....	7
Roman Potocki, syn Alfreda Namiestnika i Marii Sanguszko	8
Elżbieta Potocka, córka Antoniego Radziwiłła i Marii de Castellane	8
Józef Potocki, syn Alfreda Namiestnika i Marii Sanguszko.....	9
Helena Potocka, córka Antoniego Radziwiłła i Marii de Castellane	9
Pałac w Nowosielicy — miejsce akcji <i>Pożogi</i> , pierwszej powieści Zofii Kossak-Szczuckiej.....	11
Romanowie i Józefowie Potoccy z synami, Łańcut, Wielkanoc 1904 rok.....	12
Łańcut, grupa rodzinna — pierwszy samochód, około 1900 roku	13
Elżbieta i Helena Potockie z synami i bratankami, synami Biszety i Jerzego Radziwiłła, w Antoninach....	14
Helena Potocka z synami Romanem i Józefem w Antoninach, 1909 rok	15
Elżbieta Potocka z synami Alfredem i Jerzym	17
Alfred, Roman i Jerzy Potoccy, 1923 rok.....	21
Derażne, dom nad rzeką Horyń zakupiony i odremontowany przez naszego Ojca w 1928 roku	24

Pomorzany pod Tarnopolem, zamek odbudowywany po zniszczeniach I wojny przez Suzanitę i Jerzego Potockich	24
Roman i Anna Potoccy — narzeczeni, Milanów 1928 rok, z tyłu siedzą: babka — Włodzimierzowa Czetwertyńska, siostra Marjózia Grocholska i matka Zofia z Przędzickich Czetwertyńska. Stoją: Helena Potocka, matka Romana, Zofia Zamoyska, cioteczna siostra, stryj Włodzimierz Czetwertyński oraz Ludwikowa Czetwertyńska	25
Zamek Łańcucki, zdjęcie przedwojenne	26
Elżbieta Potocka, matka Alfreda z pekińczykiem Pinki zdjęcie z końca lat trzydziestych	27
Staś Potocki, syn Jerzego i Suzanity Potockich, ukochany wnuk i bratanek, który dzieciństwo spędził głównie w Łańcucie. Tu z orkiestrą łańcucką, 1935 rok	27
Wizyta ks. Kentu. Siedzą od lewej: Adamowa Potocka, Maria Beckowa, ks. Kentu, Romanowa Potocka, ks. Lichtenstein. Stoją: (drugi od lewej) Aleksander Koziell–Poklewski, Alfred Potocki, Eryka Lubomirska, Benedykt Tyszkiewicz, min. Józef Beck, p. Zofia Koziell–Poklewska, ks. Kentu, Józef Potocki, Roman Potocki, Dominik Radziwiłł, Betka Czartoryska	29
Alfred Potocki z dziećmi, Netą, Heleną i Markiem Potockimi, Łańcut, lato 1940 rok	32
Jerzy Potocki w okresie wojny bolszewickiej	37
Stanisław Radziwiłł, syn Antoniego i Marii de Castellane	37
Pożegnanie ambasadorowej polskiej w USA Suzanity Potockiej. Stoją od lewej: Alfred Potocki z bratankiem Sta-	

siem Potockim, jego opiekunka, matka Alfreda — Elżbieta Potocka z synową, Suzanią Potocką, i orkiestra łańcucka na dworcu w Łańcucie, 1937 rok	39
Maryńcia, Roman, Elżbieta i Helena Potoccy z naszą Mademoiselle, Derażne 1938 rok	43
Zima 1940 roku, nasza trójka z ukochanymi towarzyszami zabaw, pekińczykiem Pinki i kokerem Armą.	50
Z Mamą w maju 1940 roku w Łańcucie, pierwsza komunia mojej siostry Nety	51
Suchowola, dwór spalony po wojnie	53
Dwór w Suchowoli wybudowany przez Seweryna Czetwertyńskiego wg jego projektu, koniec XIX wieku.	53
Fräulein w Suchowoli w około 1939 roku	54
Neta i Helena Potockie z dziećmi suchowolskimi w procesji z liliami w 1941 roku	55
Mama i nasza piątka w Suchowoli w 1941 roku	58
Seweryn i Ludwik Czetwertyńscy z żonami, wnukami i rodziną, Ewa Gromnicka z synem Jasiem, Suchowola 1940 rok	59
Neta i Helena Potockie w drodze do Łańcuta w lecie 1942 roku. Etap w Rozwadowie u Lubomirskich	67
Alfred Potocki z Matką i Mamą z naszą piątką, jesienna niedziela 1942 roku	69
Helena Potocka z wnukami Marynią i Romanem, 1942 rok	70
Mama i nasza piątka, Maryńcia, Neta, Helena, Roman i Marek, Łańcut 1942 rok	71

Anna Potocka z dziećmi, Romanem, Neta, Heleną i Markiem, 1943 rok	72
Rafałowie Lubomirscy z Przeworska, Betka Potocka, dzieci z Dąbrówki pod Łańcutem, z tyłu: Roman i Neta Potoccy	73
Dom państwa Rutkowskich w Łańcutcie, w którym mieszkaliśmy od 1942 do 1946 roku	75
Powóz przed zamkiem łańcuckim	76
Ksiądz Ignacy Kozieja, nasz katecheta, lata pięćdziesiąte . .	79
Ostatnia Msza św. księdza Kozieja, lipiec 1983 roku . . .	79
Ostatnie wspólne lato przed wyzwoleniem, brat Roman już wyrósł z ubrań stryja	80
Stajenny łańcucki Harry	93
Rodzina Muszów z synową Teresą Lewicką i ukrywającym się akowcem Stefanem Sukiennikiem z Brzeska, późniejszym zięciem Muszów	96
Zdjęcie Ani Rey i Maryńci Potockiej z 1948 lub 1949 roku	110
Zamek w Montrésor	111
Biblioteka zamkowa, na kominku biust Anny z Potockich Branickiej, na ścianach rodzinne portrety pędzla Winterhaltera	112
Anna Branicka z córką Jadwigą Reyową, jej trzema córkami i zięciem, Tyszkiewiczowie, Lula Esterhasy, Helena i Maryńcia Potockie oraz Andrzej Potocki, więzień Dachau	114

Lena Rudnicka, córka generała, późniejsza karmelitanka, Cesia Rey, Helena Potocka i Ania Rey	115
Helena Potocka w chorzowskich butach, Maciek Myciel- ski i Ika Krzeczunowicz, Montrésor 1946 rok	117
Jerzy i Alfred Potoccy po śmierci matki, Szwajcaria, wiosna 1951 rok	122
Marjózia Grocholska z córką Maryjką i siostrzeńcem Mikołajem Grocholskim. Obie wywiezione do Niemiec do obozu	124
Odwiedziny Maryjki Grocholskiej w mojej pierwszej szkole	125
Seweryn Czetwertyński, zdjęcie z początku okupacji. . .	130
Portret Napoleona pędzla Gerarda w pałacu Józefa Po- tockiego w Warszawie, spalony w czasie powstania warszawskiego	132
Z Marynią w Fontainebleau, jeszcze z warkoczami . .	133
Ślub Maryni Potockiej w Monméliant we Francji. Od lewej Józef Potocki, Marynia, Alik Kozieł–Poklewski, z tyłu ambasador Kajetan Morawski, 1950 rok.	135
Marjózia Grocholska na tle domu gościnnego barona.	136
Różany domek w St. Fontaine w Ardenach	136
Mieszkańcy różanego domku. Jerzy Czetwertyński z ro- dziną i Marjózia Grocholska z córką i siostrzeńcami .	137
Z Mamą na Sławkowskiej, początek lat pięćdziesiątych, lata studenckie	143
Mimo trudnych czasów ciekawe spotkania, Roman Potocki z pisarzem angielskim Grahamem Greenem u konsulów	

francuskich w Krakowie, państwo Alainowie Peyrefitte, rok 1954 lub 1955	144
Służewiec w 1939 roku Roman Potocki z bratem Józefem, jego żoną i gen. Bronisławem Regulskim.....	146
Roman Potocki, płk Tadeusz Falewicz i Roman Rogowski na torach Służewca, około 1960 roku	147
Na przełomie 1955/56 roku Stanisławowie Reyowie z Montrésor (ona Maryńcia Potocka) zaprosili Alfreda Potockiego na stały pobyt do siebie. Nagła decyzja Izy Sidney zmieniła te plany	153
Iza Sidney i Alfred Potocki po ślubie, rok 1956/57 ..	154
Helena, Alfred i Suzanita Potoccy, Paryż 1957 rok. . .	156

INDEKS OSÓB

A

Andia Manolo de 153

Ani zob. Rey Anna

B

Bałaszewicz Julian Aleksander
163

Beck Józef 29, 170

Beck Maria 29, 170

Betka zob. Potocka Elżbieta z Radziwiłłów

Biczka babcia 75

Bliss Lane 103

Boucher François 150

Braniccy 112, 116

Budny Michał 38

Bunia zob. Czetwertyńska Zofia z Przędzieckich

C

Castellane Maria de 8–9, 12–13, 17, 37, 169–170

Ciano Galeazzo di Cortellazzo
47

Cosway Maria 85

Czapski Józef 128

Czartoryscy z Pełkiń 96

Czartoryska Betka 29, 170

Czartoryski Adam 167

Czartoryski Władysław 167

Czartoryski Włodzimierz 98

Czetwertyńscy 52, 117

Czetwertyńscy z Żołódka 57

Czetwertyńska Ewa 59

Czetwertyńska Krystyna 62

Czetwertyńska Maria z Uru-
skich 25, 123, 125, 170

Czetwertyńska Róża z Radzi-
wiłłów 25, 123, 170–171

Czetwertyńska Róża z Żółtow-
skich 123, 125–126, 135,

Czetwertyńska Zofia z Przeź-
dzieckich 25, 44, 49, 51,
62–66, 170–171

Czetwertyński Andrzej s. Lud-
wika 125

Czetwertyński Jerzy s. Ludwi-
ka 123, 125–126, 135, 137,
173

Czetwertyński Ludwik 56–57,
59, 125, 171

Czetwertyński Michał s. Jerze-
go 123, 125

Czetwertyński Seweryn 23, 44,
49, 51–53, 56–59, 63–64,
123, 128–130, 171, 173

Czetwertyński Stanisław s. Lud-
wika 57, 59, 125

Czetwertyński Włodzimierz 25,
123, 170

D

- Dietrichstein hr., mąż Józefiny 82
 Dietrichstein Józefina z Potoc-
 kich 82
 Dino ks. 17–18
 Dowgiałło Karol 41
 Dreszer–Orlicz c. Gustawa Kon-
 stantego gen. 103
 Dreszer-Orlicz Gustaw Kon-
 stanty gen. 103
 Drucy–Lubeccy 61
 Dubas Danuta 79
 Dygat Zygmunt 34–35, 38,
 159–160

E

- Espirito Santo Silva 155–156
 Esterhazy Helena (Lula) 114,
 172

F

- Falewicz Tadeusz płk 147, 174
 Franco Bahamonde Francisco
 gen. 102–103
 Franciszek, ks. Lichtenstein 82
 Fräulein (Floria) zob. Knacks-
 tedt Carla
 Fruś zob. Potocki Alfred s. Ro-
 mana z Łańcuta

G

- Gdula Stefan 76
 Gerard François 131–132, 173
 Green Graham 144, 173
 Grocholska Barbara z Czetwer-
 tyńskich 56, 105

- Grocholska Maria (Maryjka)
 124–125, 127–128, 137,
 173
 Grocholska Maria Józefa (Mar-
 józia) z Czetwertyńskich 25,
 56, 116–117, 123–124, 127–
 130, 134–137, 170, 173
 Grocholski Marcin 127
 Grocholski Michał 127
 Grocholski Mikołaj 124, 173
 Grocholski Remigiusz płk 56,
 105
 Gromniccy, dzieci Remigiusza
 i Barbary 105
 Gromnicka Elżbieta z Potoc-
 kich 5, 32, 41–43, 45, 49–
 51, 55, 58, 62–64, 66–
 67, 69, 71–73, 75–76, 81,
 86, 95, 98, 100–102, 104–
 105, 118, 138, 170–172
 Gromnicka Ewa 59, 171
 Gromnicki Jaś s. Stefana 59,
 171
 Gromnicki Stefan 57, 59
 Gutman, siostra Morstinowej
 z Krakowa 120

H

- Hans Adam II, ks. Lichtenstein
 154
 Harry (Herbert), stajenny łań-
 cucki 93–94, 172
 Horodyńscy 60–61
 Horodyńska Hania 61
 Horodyński Zbigniew 61
 Humpola, ks. kapelan wojsko-
 wy 141

I

Irena, znajoma z Łańcuta 108

J

Janisława, s. Boromeuszka 51

Jankowiak Krzysztof 5

Jezierski, sąsiad z Derażnego
41Jodko–Narkiewicz Stanisława
150

Jordan Zofia 120

Jordan–Platerowa Anna 149

Karol II, król rumuński 28

Kentu ks. 28–29, 170

Kieszczyńska Ela 5

Knackstedt Carla 54, 57, 129,
171Koniecpolski Stanisław, hetman
88Kosielski, główny plenipotent
70Kossak–Szczucka Zofia 10–12,
169Kozień–Poklewska Zofia 29,
170Kozień–Poklewski Aleksander
(Alik) 29, 122, 135, 154,
161, 170, 173Kozieja Ignacy ks. 18–20, 71–
–72, 78–79, 132, 172

Krzczunowicz Ika 117, 173

Kuroczkin Paweł gen. 91

L

Larisch 93

Ledóchowska Dolly 131, 133

Ledóchowski Lech 41, 131

Lewicka Teresa 96, 172

Lichtenstein Elżbieta v. Oster-
reich 29, 170Lichtenstein Julia z Potockich
82Lichtenstein Maria z Kinskich
154

Lichtenstein Marina 83

Lubomirscy z Przeworska 73,
81, 172

Lubomirska Eryka 29, 170

Lubomirska Izabela z Czarto-
ryskich, ks. marszałkowa 84

Lubomirski Adam 41

Lubomirski Henryk 85

Lubomirski Hubert 41

Ludwik Filip Orleański 167

Ł

Łojek Jerzy 90

Łoś Jan Stanisław 87

Łosiowa, intendentka KUL–u
w Lublinie 86**M**

Mackiewicz Józef 86

Malinowska Krystyna 79

Mauberg Anna 145

Mauberg Helena z Potockich
5, 20, 31–32, 40–50, 55,
58, 62, 66–69, 71–73, 75,
77, 85–86, 95, 100–102,
104–107, 109, 114–115,
117–119, 126, 131–132,
138–139, 146, 170–173

Mauberg Wacław 5, 109

Miś zob. Rey Stanisław

- Morawski Kajetan 128, 135, 173
 Morstinowa z Krakowa 120
 Muni zob. Potocka Helena z Radziwiłłów
 Muszowie 95–96, 172
 Mycielski Maciek 117, 173
- N**
 Napoleon I Bonaparte 131–132, 173
 Neta zob. Gromnicka Elżbieta z Potockich
 Noga Roman 94
 Noskowie 76
- O**
 Olga, opiekunka 58
 Olszewscy 76
 Olszewska Kazimiera 76
 Orłowska Mabel 131
 Orłowski Aleksander 131
- P**
 Peszko, służący 49
 Paterak Marta 5
 Peyrefitte Alain 144, 174
 Pfiffer baron, właściciel hotelu Ritz w Paryżu 120
 Piłsudski Józef 14, 22, 36
 Plater–Zyberg Elżbieta z Czetwertyńskich 128
 Potoccy 19, 52, 88, 92
 Połczyński Janta– dr 129
 Potocka Alberta 88
 Potocka Anna z Branickich 107, 110, 112, 114–115, 172
 Potocka Anna z Czetwertyńskich 5, 23, 25, 29, 35, 40, 41–42, 45–49, 51, 54, 58, 61–62, 64, 66, 68, 71–72, 76, 81, 86, 95, 99–106, 109, 117, 133–134, 139, 141–143, 145, 166, 170–173
 Potocka Dorota 40, 102
 Potocka Elżbieta (Neta) zob. Gromnicka Elżbieta z Potockich
 Potocka Elżbieta z Radziwiłłów 8–9, 14, 16–17, 26–27, 39–40, 45–46, 67, 69, 73, 77, 81–82, 84–85, 90, 94, 117–122, 150, 152, 155, 157–158, 169–171
 Potocka Helena z Radziwiłłów 9, 14–16, 25, 40–41, 44, 46–49, 51, 54, 69–70, 77, 85, 94–95, 102–104, 106, 116–117, 131–134, 156–157, 159, 169–170, 174
 Potocka Helena zob. Mauberg Helena z Potockich
 Potocka Krystyna z Radziwiłłów 25, 40, 102, 146, 174
 Potocka Małgorzata z Radziwiłłów 30, 34–35, 102
 Potocka Maria (Maryńcia) zob. Rey Maria z Potockich
 Potocka Suzanita 24–25, 27, 39, 156–157, 160, 164, 170–171, 174
 Potocka Zofia z Tarnowskich 114

- Potocki Alfred „Namiestnik” 5, 8–9, 82, 155, 169
- Potocki Alfred s. Romana z Łańcuta 14, 16–18, 20–22, 26–36, 38–40, 45, 50, 60–61, 68–69, 71, 74, 77–78, 80–82, 84–86, 89–92, 94, 117–122, 148–162, 164–167, 169–174
- Potocki Albert 155, 163
- Potocki Andrzej 114, 172
- Potocki Artur 114
- Potocki Franciszek 30, 34–35, 102
- Potocki Jan 163
- Potocki Jerzy s. Romana z Łańcuta 14, 16–18, 20–22, 24, 27–28, 36–40, 103, 121–122, 140, 149–150, 155–157, 159–161, 164, 166–167, 169–170, 173
- Potocki Józef s. Józefa z Antonin 14–16, 20, 22–23, 25, 29, 38, 40, 102–103, 132, 135, 140, 146, 152, 154, 157, 161, 166, 167, 169–170, 173–174
- Potocki Józef z Antonin 9, 12, 14–16, 23, 87–88, 110, 169
- Potocki Konstanty s. Franciszka 35
- Potocki Marek s. Romana 32, 41–42, 45, 49–50, 58, 69, 71–72, 86, 95, 100–102, 104, 106, 170–172
- Potocki Mikołaj 29–30, 32–35, 39, 120, 159
- Potocki Piotr 102
- Potocki Roman s. Józefa z Antonin 5, 10–12, 14–16, 18, 20–25, 28–29, 31–33, 38, 40, 42, 44–45, 60–61, 86, 100–102, 104, 118, 139–147, 157, 160–162, 166–167, 169–170, 173–174
- Potocki Roman s. Romana 6, 31, 41–43, 45, 49, 56, 58, 60–61, 68–73, 80, 84, 95, 99, 101–102, 104, 171–172
- Potocki Roman, ordynat łańcucki 8–9, 12, 110, 155, 169
- Potocki Stanisław Rewera hetman 33
- Potocki Stanisław s. Jerzego 25, 27, 39, 170–171
- Potocki Stanisław Szczęsny 89
- Potocki Teodor, prymas Polski 88
- Ptaszkowska, towarzyszka Heleny Potockiej z Radziwiłów 95

R

- Radziwiłł Albert 14
- Radziwiłł Anna z Lubomirskich 40–41, 46
- Radziwiłł Antoni 8–9, 37, 169–170
- Radziwiłł Biszeta 14, 38, 46, 169
- Radziwiłł Dolores z Radziwiłłów 13

- Radziwiłł Dominik 29, 170
 Radziwiłł Janusz 25, 40-41, 46
 Radziwiłł Jerzy 14, 169
 Radziwiłł Leon 14
 Radziwiłł Maria Róża z Branickich 13
 Radziwiłł Matylda Krystyna 13
 Radziwiłł Stanisław 14, 36-38, 170
 Radziwiłłowie 74
 Regulski Bronisław gen. 100, 102, 104, 146, 174
 Rey Anna (Ani) 107, 109-110, 114-115, 172-173
 Rey Cecylia 114-115, 172
 Rey Izabela 157
 Rey Jadwiga 114, 172
 Rey Jadwiga z Branickich 107, 110, 114, 172
 Rey Karolina 157
 Rey Konstanty 157
 Rey Ksawery 107, 109, 111, 116
 Rey Maria z Potockich 5, 41-43, 45, 49, 55, 58, 61, 68-71, 92, 95, 101-104, 106-107, 109-110, 114-115, 118-119, 126, 131-135, 139, 153, 157, 171-172, 174
 Rey Stanisław 107-108, 110
 Rey Stanisław s. Stanisława 153, 174
 Rogowski Roman 147, 174
 Romer Eugeniusz 33
 Roosevelt Franklin Delano 38
 Rudnicka Lena 115, 173
 Rudnicki Klemens gen. 114
 Rutkowsy 68, 75, 80, 172
 Rutkowska Teofila 68, 76
 Rutkowski Piotr 95
- S
- S., państwo z Chorzowa 100
 Słowacki Juliusz 134
 Sabina, nauczycielka 57
 Sanguszko Maria 8-9, 12, 169
 Sanguszko Roman 12
 Sapięha Andrzej 76, 140
 Sapięha Katarzyna z Potockich 140-141
 Sapięha Leon 140-141
 Sapięhowie z Krasiczyna 81
 Savary F. adwokat 155-156
 Sidney Iza 150-151, 153-154, 157, 159, 162, 166, 174
 Sienkiewicz Henryk 20-21,
 Sierow Iwan 47
 Stambułka Ewa 78
 Stolzman, nauczyciele z Lubartowa 57
 Sukiennik Stefan 96, 172
 Szaszkiewicz, marszałek dworu 70
 Szczucki Stefan 11
 Szerauc Jerzy 114
 Szyć Matylda (Tita) 48-49, 98
 Szymek, lokaj 94, 122, 150
- Ś
- Świejkowska Emilia 33
 Świejkowski Alfred 33
 Świejkowski Hieronim 33

T

Tita, niania zob. Szyca Matylda
 Trawiński Witold H. 33
 Turn und Taxis 74
 Tyszkiewicz Benedykt 29, 170
 Tyszkiewiczowie 114, 172

V

Vlasto Stefan 38, 149–150, 152

W

Węgiełek 83
 Wiercińska Maria z Pohoreckich
 79
 Wiktor Emanuel III, król wło-
 ski 47
 Winterhalter Franc Xaver 112,
 170
 Wojciech, portier 144
 Wojnar Antoni 92

Wyszyński Stefan, prymas Pol-
 ski 60

X

X, pretendujący do spadku po
 Alfredzie 162, 164

Y

Yturregui Suzanita de zob. Po-
 tocka Suzanita

Z

Zamoyska Jadwiga z Brzozow-
 skich 60
 Zamoyski Aleksander 60
 Zamoyska Zofia 25, 170
 Zofia, opiekunka 57, 62, 64,
 66
 Zóltowski Andrzej 60

Oprac. Magdalena Kycia



SPIS TREŚCI

Wstęp	7
Przed wojną	10
Lata wojny	40
Zagranicą	102
Znów w kraju	137
Czy Alfred Potocki uratował czy zdradził Zamek w Łańcucie?	148
Spis ilustracji	169
Indeks osób	175

